



## MICHAŁ KULA

Dnia 11 czerwca 1945 r. w Krakowie, sędzia śledczy Jan Sehn, członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przesłuchał na wniosek, w obecności i przy współudziale prokuratora Edwarda Pęchalskiego, w trybie art. 254 w związku z art. 107 i 115 kpk, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, który zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Michał Kula
Data i miejsce urodzenia	7 września 1912 r. w Trzebini, pow. chrzanowski
Imiona rodziców	Jan i Antonina Kosowska
Zawód	mechanik
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Stan cywilny	kawaler
Miejsce zamieszkania	Trzebinia, ul. Słowackiego 11

---

Do czasu wybuchu wojny pracowałem i mieszkałem na stałe w Warszawie. Po kapitulacji Warszawy powróciłem tam i zgłosiłem się do pracy w firmie Lilpop. Tam zatrzymano mnie zaraz, żądano ode mnie wydania planów. Treuhänderem przedsiębiorstwa był już wówczas reichsdeutsch Jankowski, któremu wytłumaczyłem, że planów nie posiadam i nic o nich nie wiem. Chcąc wydostać się z matni, w jaką tam wpadłem, przyrzekłem Jankowskiemu na jego nalegania, że wyjadę do fabryki do pracy do Lipska i wówczas mnie zwolnił. Od tego czasu zmieniałem stale miejsce zamieszkania, ponieważ do Lipska jechać nie chciałem, a na żądanie Jankowskiego byłem poszukiwany przez policję.

W tym czasie wszedłem w kontakt z Czesławem Stolzmannem, zamieszkałym przy ul. Kruczej 23 m. 26, i w mieszkaniu tym spotkałem się z wachmistrzem z Ursusa Kowalskim. Postanowiliśmy wspólnie przeciwdziałać wyjazdowi młodych sił roboczych do Niemiec. Przez nieostrożność Kowalskiego wślizgnął się do naszej grupy konfident, którego nazwiska nie pamiętam. Na skutek jego denuncjacji zostałem 6 sierpnia 1940 r. w mieszkaniu Czesława aresztowany i osadzony w więzieniu przy ul. Pawiej (na Pawiaku). Tam byłem przesłuchiwany, przy czym mnie bito. Z toku przesłuchania zorientowałem się, że ów konfident nie był jednak jeszcze zorientowany co do naszych planów i zamierzeń, nie znał osób należących do naszej grupy, wiedział tylko, że 6 sierpnia 1940 r. mamy odbyć zebranie, i to doniósł policji. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w chwili wkroczenia gestapo do mieszkania Czesława, byłem tam tylko ja i jego żona, tak że inni uczestnicy naszej grupy ocaleli. Nie słyszałem przynajmniej, ażeby któryś z nich został aresztowany. Mimo bicia żadnego z nich nie wydałem i do niczego się nie przyznałem.

14 sierpnia 1940 r. przewieziony zostałem autami w grupie 300 więźniów z Pawiaka na dworzec towarowy w Warszawie, gdzie załadowani zostaliśmy do wagonów bydłych po 50 osób w jednym wagonie, dołączeni do dużego transportu i przewiezieni do Oświęcimia. Podróż koleją trwała od godz. 5.00 14 sierpnia 1940 r. do 4.30 15 sierpnia 1940 r. Po drodze z transportu tego, liczącego 1730 więźniów, trzech z powodu próby ucieczki zostało zastrzelonych.

W Oświęcimiu wyładowani zostaliśmy na rampie boczniczej kolejowej. Rampa i cała droga do obozu obstawiona była przez SS-manów, którzy ustawieni byli wzdłuż drogi i leżeli w trawie z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Ponadto uzbrojeni byli w pałki i mieli ze sobą psy policyjne. Wśród ustawicznego bicia zapędzono nasz cały transport, składający się z samych mężczyzn, na plac apelowy, gdzie stojący na stole SS-man, otoczony grupą SS-manów, wyczytywał nazwiska więźniów z dostarczonej wraz z transportem listy. Każdy wyczytany z listy musiał przebiec obok stołu, gdzie stojący tam SS-mani bili go pałkami. Wszyscy wyczytani ustawiali się dziesiątkami po drugiej stronie placu apelowego. Tam zaczęli krążyć wśród nas kapo z pierwszej trzydziestki zbrodniarzy pospolitych, przywiezionych na kapo z Rzeszy. Zdejmowali nam obrączki, pierścienie, zabierali zegarki, zrywali medalioniki, bili go do nieprzytomności.

Następnie przepędzeni zostaliśmy wszyscy na podwórze między blokami 15. a 16. W naszej grupie znajdował się młody ksiądz z Warszawy. SS-mani i kapo odwrócili mu kapelus

dnem do góry, na szyję założyli pętlę postronka, a drugim końcem postronka przewiązali go w pasie. Do ręki dali temu księdzu miotłę. W tym przebraniu biegał on wokół całego transportu w czasie przepędzania nas z placu apelowego na podwórze między blokami 15. a 16. SS-mani i kapo znęcali się nad nim w bezlitosny sposób i bili go czym popadło, aż omdlony upadł. Jaki był jego dalszy los nie wiem, między więźniami w późniejszym czasie więcej go nie spotkałem.

Na podwórzu między blokami 15. a 16. musieliśmy się rozebrać do naga, zdać ubrania, zostaliśmy ostrzyżeni i otrzymaliśmy numery. Numerów wówczas jeszcze nie tatuowano. Otrzymaliśmy tekturki, na których były wypisane numery więźniów. Stąd przepędzono nas następnie wśród bicia do łaźni, która podówczas mieściła się w bloku 18. Oczywiście o kąpeli nie było mowy, można się było tylko ochlapać zimną wodą. Na tym samym bloku odbyło się również badanie lekarskie, które przeprowadzali lekarze więźniowie. Lekarz taki pytał więźnia, czy jest zdrow i bez względu na treść odpowiedzi kazał mu iść dalej. Z łaźni przegnano nas na podwórze między blokami 17. a 18., gdzie leżały dwa duże stosy ubrań więziennych, drelichowych, w pasy. W biegu musieliśmy się ubrać i ustawić na placu apelowym. Tu rozdzielano nas na setki, setkami odprowadzano na bloki.

Wraz z moją setką znalazłem się na bloku 4. Prócz naszej setki wtłoczono tam jeszcze pięć dalszych setek, tak że na bloku 4. mieszkało w tym czasie 600 więźniów z naszego transportu. Zastaliśmy tam drobną grupę Ślązaków z poprzedniego transportu. Wszyscy oni nienawidzili warszawiaków, żerowali na nas, okradali nas, wyciągali od nas pieniądze, które niektórym udało się jeszcze przemycić, pod pozorem dokonania dla nas zakupów w kantynie. Rzeczy, które mieli dla nas kupić w kantynie, nigdy oczywiście nie dochodziły.

Blokowym na bloku 4. był wówczas Maks, reichsdeutsch, z owej pierwszej trzydziestki niemieckich przestępców pospolitych przywiezionych do Oświęcimia na kapo. Jak się zorientowałem, był on z owych 30 najwzględniejszy jako blokowy. Sam nie bił więźniów, ale wyręczał go w tym jego zastępca, Ślązak Alfred Skrzypek z Chorzowa, i drugi Ślązak Michel, pochodzący z Radzionkowa, który pełnił funkcję Schreibera blokowego. Pomocnikiem zastępcy blokowego, tzn. pomocnikiem Skrzypka, był Wilhelm Bieniek z Chorzowa, który był jednocześnie *Stubendienstem*. Dalszych sztabowych dobrał sobie blokowy Maks z ludzi przybyłych naszym transportem. Funkcje te powierzył Jurkowi z Warszawy, Myszkowskiemu z Chóru Dana i jakiemuś reichsdeutschowi z Gdańska, który pełnił również funkcję fryzjera

na bloku. Nazwiska Jurka nie znam, był to mężczyzna średniego wzrostu, dobrze zbudowany, szatyn, oczy wąsko rozstawione, twarz pełna, mógł liczyć ok. 24 lat. Z zachowania jego i sposobu wyrażania się, a wreszcie z jego opowiadań, dowiedzieliśmy się, że był to ulicznik warszawski pochodzący z okolicy Woli. Bieniek był konfidentem blokowego Maksa, wszystko mu donosił, a następnie po objęciu bloku 4. przez blokowego Krankemanna był jego prawą ręką. Skrzypek, Michel, Jurek, Myszkowski i ów fryzjer z Gdańska bili więźniów, Myszkowskiemu przetłumaczyliśmy później, że tak postępować nie należy. Zrozumiał to i zrezygnował ze stanowiska *Stubendiensta*, mimo iż łączyło się ono z korzyściami, a przede wszystkim zwalniało od gimnastyki, ponadto otrzymywał więcej jedzenia. Najwięcej ofiar na sumieniu ma ów *Stubendienst* Jurek. Na samym bloku 4. zabił on, względnie pokaleczył i poranił śmiertelnie ok. 80 więźniów, przeważnie spośród inteligencji. Działo się to najczęściej wieczorem przy układaniu się więźniów do snu.

Jak już wspomniałem, na bloku 4. stłoczono ponad 600 więźniów. Spaliśmy na wąskich siennikach bez łóżek. Na jednym sienniku leżało trzech więźniów. Ażeby tego dokonać, musieliśmy się gęsiego jeden za drugim ustawiać przed siennikiem i wszyscy jednocześnie przewracać na jeden bok na siennik. Jurek chodził wówczas między więźniami, bił ich po głowie drewnianym kołkiem lub gumową pałką. Sam spał na sienniku ułożonym na stole. Pod stołem spali więźniowie. Pobitych, ale jeszcze żywych więźniów, układał obok stołu i ze stołu skakał na nich, przeważnie na piersi. Zmaltretowani w ten sposób więźniowie najczęściej kończyli życie. Trupów wynoszono rano w kocach do trupiarni, która mieściła się wówczas w bloku 20.

Numeracja bloków w tym czasie była taka jak podana w broszurze ojca Augustyna. Między blokami 1. a 2. znajdowały się więzienne stolarnia i ślusarnia, a druga połowa tego samego podwórza, ta od strony bloków, zajęta była przez kuchnię obozową. Ustawione tam były kotły polowe pod gołym niebem. Kuchnia zaznaczona w planie broszury ojca Augustyna była wówczas w trakcie budowy. Między budynkiem komendantury a budynkiem szpitalnym SS, znajdującymi się poza drutami obozu, więźniowie z naszego transportu wybudowali barak, w którym mieściły się mieszkania dla SS-manów, *Blockführerów*. Barak ten został następnie rozebrany i w jego miejsce wybudowano w 1943 r. piętrowy budynek murowany, w którym mieścił się Oddział Polityczny i administracja.

Również w 1943 r. wybudowano dla Oddziału Politycznego barak obok krematorium. Tam odbywały się przesłuchiwanie i torturowanie więźniów. W 1940 r. Oddział Polityczny

mieścił się w budynku oznaczonym na planie broszury ojca Augustyna [jako] szpital SS. Oddział ten znajdował się na parterze na lewo od wejścia, na prawo mieściła się kantyna SS. Oddział Polityczny mieścił się później wewnątrz samego obozu, w bloku 17. według starego planu, który to blok po rozbudowie obozu przemianowany został na blok 25. Oczywiście nie był to cały Oddział Polityczny, tylko jego placówka, specjalnie dla spraw więźniów znajdujących się w obozie.

W placówce tej pracował Ukrainiec Bogdan Komarnicki, konfident obozowy od pierwszej chwili. W 1942 r., gdy nadeszły transporty rosyjskich wojenno-plennych, umieszczono ich w blokach położonych między placem apelowym, kuchnią a budynkami komendatury. Wszystkie te boki odgrodzono od reszty obozu drutem kolczastym i stąd nocą przepędzono na blok 11., gdzie Palitzsch ich rozstrzeliwał. Komarnicki urzędował wówczas na bloku 24. i decydował o tym, których więźniów rosyjskich należy rozstrzelać. W styczniu 1945 r. wywieziony on został naszym transportem do Mauthausen. W czasie podróży stale przebywał w towarzystwie komendanta transportu Obersturmführera i jedynie dzięki temu dojechał żywo do Mauthausen. Tam „poleciliśmy” go miejscowym więźniom, którzy rzeczywiście go pobili, lecz wyszedł z opresji żywo i został przeniesiony przez SS do komanda w Melku, oddalonym 60 km od Mauthausen. Tam został kalefaktorem tamtejszego Obersturmführera. Sądzę, że Komarnicki żyje i znajduje się w angielskiej strefie okupacyjnej. Jest to mężczyzna wysoki, brunet, bardzo przystojny, ma piękne zęby – jak perły. Sądzę, że nie ma więcej niż 30 lat.

Jednym z najniebezpieczniejszych konfidentów był Dorosiewicz – zdaje się, też Ukrainiec – który podawał jednak, że pochodził z Warszawy. Zatrudniony był w oddziale pomiarów jako kapo, chodził z więźniami pracującymi w tym oddziale na miejsce pracy w terenie, stale w towarzystwie SS-mana z Oddziału Politycznego, szpiegował więźniów, poznawał ich kontakty ze światem zewnętrznym i następnie oskarżał wobec SS-manów. Za jego sprawą, na skutek jego denuncjacji, powieszono w lecie 1944 r. 12 więźniów z oddziału pomiarów. Przed wykonaniem tej egzekucji – sprawa tych 12 ciągnęła się bowiem bardzo długo – Dorosiewiczowi udało się zbiec wraz z jakimś Żydem zatrudnionym w Oddziale Politycznym, prawdopodobnie do Wiednia. W sprawie owych 12 z biura pomiarów współpracował Dorosiewicz z konfidentem Krahlem, reichsdeutschem, zatrudnionym w biurach Bauleitungen i w Oddziale Politycznym.

Kolejnym konfidentem był blokowy na bloku 15. Kowalski, gdańszczanin. Obaj z wyżej wymienionym pośłani zostali z transportem i prawdopodobnie w drodze przez więźniów zabici. Takie meldunki nadeszły przynajmniej do obozu. W okazanej mi liście *Zugangu* z 22 maja 1941 r. Kowalski figuruje jako polski przestępca pospolity pod nr. 15671. Z listy tej wynika, iż na imię było mu Bolesław, pochodził z Łodzi. Jako zawód podano w liście robotnik, a datę urodzenia 10 kwietnia 1895 r. Oczywiście wymieniałem tylko asów spośród konfidentów. Wszyscy oni rekrutowali się z więźniów. W ich szeregach reprezentowane były wszelkie narodowości i wszystkie wyznania. Byli oni na usługach Oddziału Politycznego i przez ten oddział byli do poszczególnych komand przydzielani, z pominięciem oczywiście *Arbeitsdienstu* i *Arbeitseinsatzu*. Konfident taki przyjmowany bywał do *Arbeitskommanda* na podstawie karteczki Oddziału Politycznego i na podstawie takiej samej karteczki po opracowaniu komanda był przenoszony na inne. Zazwyczaj po pracy takiego konfidenta szło na stracenie kilku ludzi z komanda.

W 1940 r. wybudowano kuchnię obozową oraz przerobiono stajnie, położone już poza drutem kolczastym obozu, na warsztaty stolarskie, ślusarskie, samochodowe i elektryczne. W 1941 r. nadbudowano dotychczas parterowe bloki: 1., 2., 4., 5., 6., 7., 8., 11., 12., 14., 15., 16., 18. i 19. oraz przerobiono to, co później nazywało się *Bauhof*. W 1942 r., wybudowano na placu apelowym dalszych osiem jednopiętrowych bloków.

Budowę rozpoczęto od późniejszego bloku 4. i 15. Wykopano wówczas olbrzymie doły pod fundamenty. Dół pod fundamenty bloku 15. podszedł wodą, w której topiono Żydów. Kapo komanda zatrudnionego przy kopaniu tych rowów był reichsdeutsch, bandyta, Reinhold. Wraz z blokowymi sąsiadujących bloków znęcał się nad ludźmi pracującymi w jego komandzie. Pamiętam, że pewnego razu wrzucił starszego Żyda do dołu, w którym znajdowała się woda. Syn owego Żyda przyglądał się tej scenie. Gdy ojciec podniósł się i starał się wydostać z dołu i z wody, Reinhold i SS-mani przypatrujący się tej scenie, polecili owemu synowi zejść do dołu i utopić ojca. Syn wykonał ten rozkaz, zszedł do dołu, chwycił ojca za kark, zanurzył jego głowę w wodzie i tak długo trzymał, aż ojciec nie dawał znaku życia. Następnie na polecenie Reinholda i SS-manów wyszedł ów syn nad brzeg dołu. Reinhold i jeszcze jeden więzień, którego nie znam, złapali go za ręce i nogi, rozhuścili, wrzucili do dołu, gdzie inni Żydzi, pracujący w wodzie przy wydobywaniu żwiru, musieli go utopić.

Zaznaczam, że przy kopaniu dołów na fundamenty pod bloki 4. i 15. pracowały kompanie karne. Początkowo były dwie: kompania karna, licząca ok. 150 więźniów, i kompania karna

wychowawcza, licząca w tym czasie ok. 400 więźniów. Do pierwszej szli Żydzi i Polacy stojący pod zarzutem cięższych przewinień lagrowych. W drugiej byli sami aryjscy, którzy w kompanii karnej znaleźli się za drobniejsze przewinienia, jak np. niezdjęcie czapki przed SS-manem, palenie papierosów, trzymanie rąk w kieszeni itp. Podział ten trwał jednak bardzo krótko i na Boże Narodzenie 1942 r. istniała już tylko jedna kompania karna (SK, [Strafkompanie]), która kwaterowana była na ówczesnym bloku 13., później oznaczonym nr. 11.

Dla kompanii karnej wybierano najcięższe komanda, [więźniowie] pracowali stale albo w wodzie, albo w Kiesgrubach, w każdym razie zawsze pod gołym niebem. Na skutek tak ciężkich warunków pracy ludzie z tej kompanii ginęli bardzo szybko. W 1942 r. wcielono do niej stu ludzi z transportu warszawskiego, który przybył do Oświęcimia 3 maja 1942 r. Więźniów z tego transportu zatrudniono przy plantowaniu ziemi obok toru kolejowego. Ponieważ na miejscu pracy nie było żadnego ustępu, jeden z więźniów załatwiał potrzebę fizjologiczną na otwartym polu w chwili, gdy obok miejsca pracy przyjeżdżał pociąg z transportem wojskowym. Po paru godzinach nadszedł do obozu meldunek, że więzień ów umyślnie wypiął tyłek na przejeżdżający transport wojskowy. W rezultacie całe komando, składające się ze stu ludzi, wcielono do kompanii karnej, z której żaden nie wyszedł żywo.

Poza ciężką pracą w komandach poza obozem kompania karna musiała pracować po odbyciu wieczornego apelu aż do pierwszego gongu na terenie obozu. Oprócz ciężkiej pracy niszczyły tych ludzi: brak odzienia, głodzenie i warunki mieszkania na bloku 11. Pracowali oni zimą i latem bez skarpetek, w drewniakach holenderskich, odziani tylko w drelichy. Wydawanie jedzenia przyniesionego w kotłach zależne było od fantazji blokowego, którym w 1942 r. był Krankemann. Noce spędzali na bloku 11., najczęściej bezsennie z powodu ciągłych krzyków i bicia. Leżeli bez sienników na gołej posadzce, a łachmany swoje musieli zostawiać na korytarzu złożone w kostkę, ażeby nie mogli się nimi przykryć w nocy. Blok był nieopalany i nieogrzewany. Nic więc dziwnego, że ludzie w tych warunkach podupadali bardzo szybko na zdrowiu. Do 1943 r. chorych z karnej kompanii nie było wolno przyjmować do szpitala. Jeżeli więc ktoś zachorował, to pozbawiony wszelkiej opieki lekarskiej musiał zginąć – i ginął – na bloku 11. Największy odsetek ginął jednak z zabicia.

Sam Krankemann miał swój własny sposób zabijania ludzi. Ustawiał ich przy kancie muru, uderzał ręką w szczękę, na skutek czego szczęka pękała, a druga strona głowy uderzała w kant muru. Oczywiście powodowało to duże zranienia i w najczęstszych wypadkach śmierć.



W zimie 1942/1943 r. grasował po bloku 11. i po kompanii karnej na wszystkich Arbeitskommandach, gdzie ta kompania była zatrudniona, Żyd olbrzym, hodowany specjalnie do zabijania ludzi. Nie pracował on, dostawał dobrze jeść, na miejscu pracy stał oparty o długi drąg średnicy ok. 70 mm i krzyczał „Bewegung”. Gdy któryś z więźniów mu się nie spodobał, przywoływał go do siebie i uderzeniem owym drągiem w kark zabijał na miejscu. Drugim sposobem stosowanym przez owego oprawcę było duszenie. Więzień musiał zapiąć bluzę na guziki i haftkę pod szyją, a wówczas ów stójkowy chwycił jedną ręką za kołnierz bluzki od tyłu, a drugą pchał głowę delikwenta ku dołowi, tak że kołnierz i haftka ugniatały krtań i powodowały uduszenie. Trzecią praktyką było duszenie przy pomocy drąga na ziemi. Układał on więźnia twarzą do góry, pod kark podsypywał ziemię lub podkładał cegłę, a następnie kładł na gardzieli ów drąg i stawał na jego obu końcach nogami. Stał tak długo, aż ofiara wyzionęła ducha.

W tym czasie mordowanie ludzi było powszechne, a nie tylko specjalnością kompanii karnej. Zarówno z transportu, którym ja przybyłem do obozu, jak i z innych transportów ówczesny *Lagerführer* Majer [Aumeier] wybierał chłopców do lat 18. i jako małoletnich umieszczał na bloku 5. [według] dawnej numeracji. Starszym blokowym był tam Baldasiński z Brzeska, jego zastępcą – Stefan Wierzbica ze Śląska, zwany „Krwawym Stefanem”. Mimo iż Aumeier zapewniał owych chłopców w mowach, które do nich wygłaszał, że przyszedli oni do obozu na wychowanie i daje im cywilne słowo honoru, iż po dwuletnim pobycie w obozie zostaną reichsdeutschami i będą sobie mogli swobodnie wybrać miejsce pracy, Baldasiński i jego pomocnik Wierzbica swoimi szykanami wytępilli większość chłopców, którzy powierzeni zostali ich pieczy na bloku 5. Bili ich, wylewali na nich zimną wodę, wystawiali na mróz, pędzili boso po śniegu pod pozorem mycia nóg, a sam Baldasiński biegał jak szalony po ciałach tych chłopców, gdy leżeli na siennikach. Po krótkim czasie pobytu na bloku 5. chłopcy „mużułmanieli” i marli. Przy życiu utrzymali się tylko ci, którzy pracowali w komandach pod dachem. Następca Aumeiera Fritzsche rozwiązał blok 5. jako blok młodocianych i przydzielał pozostałych tam niedobitków na różne inne bloki, w zależności od komand, w których pracowali.

Baldasiński i Wierzbica przybyli do Oświęcimia z Tarnowa albo Wiśnicza, jednym z pierwszych transportów. Baldasiński został w 1942 r. albo na początku 1943 r. zwolniony z obozu. Był to olbrzym, dobrze zbudowany, utuczony, w wieku ponad 40 lat. Wierzbica przeniesiony został później do Brzezinki, gdzie był kapo najpierw w [tamtejszej] kompanii karnej, a następnie w komandzie *Straßenbau*. Przeniesienie to nastąpiło na skutek tego, że u Wierzbicy znaleziono



całą masę złotych zębów. Wrywał je ludziom, którzy zmarli w komandzie. W zasadzie za tego rodzaju przewinienie inny więzień zostałby rozstrzelany. Wierzbica musiał mieć jakieś zasługi, skoro zwolniono go i skoro sprawa skończyła się dla niego tylko przeniesieniem do innego komanda. W Brzezince przebywał Wierzbica aż do ewakuacji obozu. W styczniu 1945 r. poszedł z transportem pieszym w kierunku Rzeszy i zbiegł z niego w Jastrzębiu-Zdroju.

Ów starszy blokowy Reinhold objął – po zdaniu kompanii karnej – blok 22a, w którym leżało komando pracujące w warsztatach, a następnie komando zatrudnione w fabryce skóry nad Sołą. W fabryce tej była również druga część kanady, w szczególności magazynowano tam wszelkie buty, walizki i inne wyroby skórzane. Przy tej okazji Reinhold wszedł w posiadanie złota i brylantów i po wydaniu się sprawy znalazł się w bunkrze bloku 11, gdzie się powiesił.

Ów Żyd dozorca w kompanii karnej dostał później pomieszczenia zmysłów, został popędzony przez SS-mana na teren leżący poza łańcuchami straży i przez tego SS-mana z tyłu zastrzelony.

Wyraz „kanada” zawdzięcza żargon obozowy więźniowi Tadeuszowi Walczakowi, przybyłemu do Oświęcimia pierwszym transportem warszawskim. Walczak był rodem z Lublina. Był to człowiek wesoły, lubił dużo mówić i gdy w połowie 1943 r. zaczęły nadchodzić do obozu transporty Żydów słowackich, powiedział, że teraz będzie w obozie „kanada”, bo jest wszystkiego w bród. Żydom słowackim zabierano bowiem wszystko już na rampie boczniczy kolejowej w Oświęcimiu, położonej od strony Brzezinki, w miejscu gdzie tor tej boczniczy krzyżował się z drogą prowadzącą do Brzezinki. Zabrane tam więźniom ubrania magazynowano w *Effektenkammer* obok *Bauhofu*. Buty, walizy i inne wyroby skórzane – w fabryce skóry niedaleko od mostu na Sole w Oświęcimiu. Przedmioty złote, brylanty i inne kosztowności – w pierwszym budynku komendantury.

Wymyślone przez Walczaka określenie „kanada” rozeszło się wkrótce po całym obozie, i to nie tylko wśród więźniów, ale także i SS-manów, którzy ostatecznie przyjęli je jako oficjalne określenie dawnych *Effektenkammer*, w których przechowywane były rzeczy zrabowane ludziom przybyłym do obozu i skierowanym do gazu. Więźniowie oznaczali jako „kanadę” po pierwsze: wszelkie towary, które opisanym poprzednio sposobem znalazły się w obozie, a więc przede wszystkim środki żywności, a po drugie wszelkie miejsca, w których rzeczy te były przybyłym do obozu odbierane. W żargonie więźniów była zatem „kanadą” i owa

rampa w Brzezince, i *Effektenkammer* obok *Bauhofu*, jak również *Effektenlager* w Brzezince i magazyny w fabryce skóry. Wreszcie jeszcze jedna „kanada”, w której przechowywano przeważnie bieliznę i ubrania, znajdowała się w Praga-Halle, w pobliżu dworca kolejowego od strony Brzezinki.

Ludzie zatrudnieni przy sortowaniu i przewożeniu rzeczy zrabowanych nowo przybyłym więźniom pracowali według języka obozowego w komandzie kanada. Przy powrocie takiego komanda z miejsca pracy do obozu wszyscy więźniowie należący do komanda byli przez SS-manów skrupulatnie rewidowani i SS-mani zabierali im wszystko, co przy nich znaleźli.

Wszystkie nadające się do spożycia środki żywności przewożono do magazynów TWL (*Truppenwirtschaftslager*), gdzie ładowano je do wagonów i wysyłano dla wojska na wschód. Wszystkie okruchy, rzeczy zepsute, produkty rozsypane i pobrudzone przesyłano do kuchni więziennej, gdzie gotowano z nich zupę dla więźniów. Kucharz wsypywał te śmieci łopatą do kotła, nic więc dziwnego, że zupa miała smak mydła, znajdowano w niej żyletki, a w jednym znanym mi wypadku prezerwatywę.

W *Effektenkammerach* przetrząsano rzeczy dostarczone tam z rampy [w poszukiwaniu] walut i przedmiotów wartościowych. Bardzo dużo pruto, od butów odrywano zelówki i obcasy, gdyż okazało się, iż w obcasach bywa ukrytych najwięcej kosztowności. W ich poszukiwaniu przełamywano [też] kawałki mydła, rozrywano tubki pasty, nawet w pędzlach do golenia szukano drogocенności i często je znajdowano. Ubrania nadające się do użytku pakowano w paczki i wysyłano do Rzeszy, a ubrania gorsze przeznaczano dla więźniów. Na bluzkach i na spodniach wycinano duże kwadraty i wstawiano pasiaste łaty dla naznaczenia w ten sposób więźnia.

Jak już na wstępie wspomniałem, do obozu w Oświęcimiu przybyłem o godz. 4.30 15 sierpnia 1940 r. Opisana przeze mnie procedura przyjęcia do obozu trwała do godz. 7.00 wieczorem. Następnie otrzymaliśmy zupę ze zgniłych szparagów i poszliśmy spać. Prawie nikt nie jadł, ponieważ wszystkich dręczyło pragnienie, a wody do picia nie otrzymaliśmy. W nocy panował na bloku wstrętny zaduch, gdyż mimo olbrzymiego stłoczenia ludzi nie pozwolono otworzyć okien.

Następnego dnia urządzono pobudkę o godz. 4.00 rano. Wypędzono nas na plac apelowy i uprawiano z nami gimnastykę do godz. 12.00 w południe. Otoczeni przez SS-manów

i kapo spośród owej pierwszej trzydziestki, bici przez nich, skakaliśmy żabki, tańczyliśmy z podniesionymi do góry rękami, biegaliśmy w kółko bosymi nogami po wyżyrowanym placu apelowym. Już w czasie tego pierwszego przedpołudnia bardzo wielu upadło z wyczerpania. Tych kapo odciągali na bok i tam *Lagerälteste* Leo dobijał ich, wpychając im siłą drąg, który stale nosił ze sobą, do ust. Ociągających się w biegach wyłapywał SS-man przezywany przez więźniów „Perełką”, odprowadzał ich za blok 8. i tam uderzeniem kołkiem w kark zabijał.

O godz. 12.00 ustawiono nas do apelu, który trwał 45 min. Pozostawiono nam 15 min na przyniesienie misek z bloku, spożycie gorącej zupy i umycie misek oraz odniesienie ich do bloku. O godz. 13.00 SS-mani i starszyzna obozowa ustawili nas znowu na placu apelowym i uczyli śpiewu. Śpiew trwał do godz. 15.00 i w tym czasie zdołaliśmy się nauczyć, mimo iż większość z nas nie znała języka niemieckiego, zaintonowane nam tylko raz przez Leo niemieckie piosenki: „Schwarzbraun ist die Haselnuss” i „Im Wald, im grünen Walde”. Choć moim zdaniem śpiewaliśmy jak na początkujących bardzo dobrze, nauczyciele byli z naszego śpiewu niezadowoleni, bili nas i kazali nam śpiewać w przysiadzie oraz w pozycji „padnij”. W pozycji tej bili nas i deptali po nas nogami.

Od godz. 15.00 do 18.30 była znów gimnastyka. O godz. 18.30 odbył się apel wieczorny, który trwał zwykle około dwóch godzin, po czym powróciliśmy na blok. W czasie apelu wieczornego wymierzano karę chłosty za najdrobniejsze przewinienie. Po apelu wieczornym wydzielano nam porcję chleba i czarną kawę.

Dzień następny rozpoczął się tak samo jak poprzedni. Przed południem opadłem z sił, biegałem wolniej i wówczas odprowadzony zostałem przez „Perełkę” za blok 8. Nie wiem, czemu to przypisać, że zapytał on mnie wówczas, kim jestem z zawodu. Gdy odpowiedziałem mu, że jestem ślusarzem mechanikiem, oświadczył mi, że potrzebuje takiego, kazał mi wziąć wiadro i polewać wodą tych, którzy na skutek gimnastyki omdleli. Pracę tę wykonywałem do południa, a następnie po śpiewie do apelu wieczornego.

Trzeciego dnia wiadra już nie znalazłem, utraciłem „funkcję” i musiałem się wraz z innymi gimnastykować. Po południu tego dnia wybierano ludzi do wożenia żwiru taczkami. W grupie tej znalazłem się i ja. Praca odbywała się biegiem bez względu na to, czy więzień pchał puste, czy też naładowane taczki. Pracowałem jednak przy taczkach tylko około dwóch godzin, ponieważ kapo nr 8 uderzył mnie liną drucianą przez plecy tak silnie, że pracować dalej nie mogłem, rzuciłem taczki i przeniósłem się do grupy gimnastykującej.

W grupie tej przebyłem również wspinanie się więźniów na cienkie drzewko. Miało się na nie wspinać ok. 50 więźniów, co oczywiście było fizyczną niemożliwością, gdyż drzewko złamało się już w chwili, gdy znalazło się na nim kilku pierwszych więźniów. Przy tej „zabawie”, która odbywała się w obecności SS-manów i starszyny obozowej, bito nas – najpierw dlatego, że jeszcze nie jesteśmy na drzewku, a następnie za to, że je złamaliśmy.

Czwartego dnia w czasie apelu południowego kapo Müller ze ślusarni poszukiwał grawera. Zgłosiłem się, zostałem przez Müllera przyjęty i w piątym dniu pracowałem już w ślusarni.

Reszta z grupy, z którą przybyłem do obozu, uprawiała taki „sport” i gimnastykę jeszcze przez dwa tygodnie. W tym czasie zginęło ich bardzo wielu, reszta była pokaleczona i miała nogi opuchnięte od ciągłego biegania boso po żwirze, drutach kolczastych i gwoździach. Oczywiście takim okaleczonym wolno było zgłaszać się na izbę chorych. Lekarz więzień dawał im kartkę, że nadają się tylko do pracy siedzącej. Takich zatrudniano przy czyszczeniu starych cegieł z zaprawy murarskiej. Cegły te przeznaczone były do budowy kuchni, którą wówczas wznoszono. Robota odbywała się w ten sposób, że więźniów usadzano na drewnianych palikach wkopanych w ziemię i zwróconych zaostrozonym końcem ku górze. Więźniowie siedzieli więc na szpicach kołków, każdy więzień siedział na jednym kołku. Kapo tego komanda był Konrad, również z owej trzydziestki reichsdeutschów. Pilnował [on], by więzień pracował rzeczywiście w pozycji siedzącej przez cały dzień bez możliwości podniesienia się. Jeżeli któryś podniósł się lub upadł, bił go do nieprzytomności i tak pobitego pozostawiał bez pomocy.

W ślusarni pracowałem od 20 sierpnia 1940 r. do października 1944 r. Początkowo warsztat ślusarski mieścił się w połowie podwórza między blokami 1. a 2. Było tu zatrudnionych najpierw 40 więźniów, ja przyszedłem jako 41. Powoli liczba pracujących w warsztacie wzrastała. W listopadzie 1940 r. przeniesiono ślusarnię do jednej ze stajni, tzn. tam gdzie jeszcze do dziś się znajduje. W chwili przenoszenia jej do nowego budynku komando liczyło już 70 więźniów. Początkowo w ślusarni nie było żadnego sprzętu ślusarskiego prócz paru młotków, obcęgow i kawałka szyny, która miała służyć za kowadło. Nową ślusarnię wyposażono w sprzęt i urządzenia maszynowe wymontowane z warsztatu klasztornego ojców salezjanów w Oświęcimiu. W miarę rozrostu i rozbudowy ślusarni więźniowie stojącymi do ich dyspozycji narzędziami tworzyli dalsze urządzenia techniczne i maszynowe warsztatu. Na wiosnę 1941 r. powiększono ślusarnię, dobudowano i urządzono odlewnię oraz warsztat do wyrobu siatek.

Pierwszym kapo komanda ślusarni był Kurt Müller, nr 6, reichsdeutsch, przestępca pospolity, który przed przybyciem do Oświęcimia miał już za sobą cztery lata więzienia. Był to człowiek młody, bardzo ambitny, podawał się za ślusarza, aczkolwiek – jak zdołaliśmy się zorientować – wybitnym specjalistą ślusarskim nie był. Ambicją jego było stworzenie ze ślusarni najpoważniejszego komanda pracy. Dlatego też wybierał z *Zugangów* ludzi podających się za ślusarzy, egzaminował ich i wcielał do swego komanda, chcąc by było ono komandem najliczniejszym. Tę jego słabość wykorzystywaliśmy, proponując mu przyjęcie naszych znajomych i towarzyszy jako wybitnych fachowców. Udało mi się w ten sposób ściągnąć do ślusarni m.in. profesora matematyki z Warszawy Florczyka. Oczywiście Florczyk na ślusarstwie zupełnie się nie znał, wobec czego zamiatał warsztat, ale praca ta mu nie odpowiadała i po krótkim czasie przeszedł do cerowania skarpet w innym komandzie. W ten sposób udało nam się wciągnąć do ślusarni bardzo wielu wartościowych ludzi i uratować ich od śmierci przy pracy pod gołym niebem.

Müller chciał z drugiej strony popisywać się wynikami pracy ślusarni przed swoimi władzami przełożonymi. Oczywiście prace wykonane przez więźniów przedstawiał jako prace przez siebie zaprojektowane, pod jego kierownictwem i w jego komandzie wykonane. W ślusarni wykonaliśmy m.in. wszystkie roboty ślusarskie do siedziby komendanta obozu Hößa. Z pracy tej Höß był bardzo zadowolony i Müller zdobył sobie w ten sposób u niego protekcję.

Chcąc wybijać się pracą więźniów, musiał Müller oczywiście dbać o swoje komando. Przejawiało się to tym, że dostarczał nam dodatkowe porcje zupy, nie pozwalał innym, np. blokowym, szykanować więźniów. Przypominam sobie, że gdy powróciłem późno z pracy w ślusarni i nie znalazłszy miejsca, na którym mógłbym się ułożyć do snu, usiadłem na taborecie w przejściu między dwoma szeregami sienników, zostałem pobity przez zastępcę blokowego, owego Skrzypka, o którym już poprzednio wspominałem. Ponieważ w tym czasie wykonywałem tabliczkę do uprzęży konia Hößa, na której szybkim wykonaniu zależało Müllerowi, polecił mi on następnego dnia po owym pobiciu mnie przez Skrzypka powrócić po apelu do pracy. Oświadczyłem ówczesnemu tłumaczowi inż. Krzetuskiemu z Mościc, że nie mogę pracować po apelu, ponieważ gdy wracam później, nie mam miejsca do spania, a za siedzenie w nocy na zydlu pobity zostałem poprzedniej nocy przez Skrzypka. Krzetuski powtórzył moje oświadczenie Müllerowi, a wówczas ten zabrał mnie, pobiegł wraz ze mną na blok 4. i tam w obecności blokowego Maksa pobił Skrzypka bardzo dotkliwie i nakazał mu, by legowisko było dla mnie zawsze zarezerwowane. Skrzypek starał się polecenie to

wykonać i w czasie układania się więźniów do snu, rezerwował dla mnie miejsce. Ponieważ jednak chłopcy we śnie się ruszali, wobec czego i w drugą noc po powrocie ze ślusarni ok. godz. 23.00 miejsca do spania nie znalazłem. Usiadłem znowu na zydłu w przejściu między szeregami sienników. Skrzypek zawołał mnie wówczas do swojej izby, gdzie spałem wraz z nim przez kilka nocy. Nie zrobił mi już w tym czasie żadnej krzywdy, obawiając się Müllera.

Przy takim nastawieniu Müllera mieliśmy możliwość likwidowania w bardzo krótkim czasie konfidentów, nasłanych do ślusarni przez Oddział Polityczny. Ludzi takich wyrzucał Müller ze ślusarni, przy czym na odchodne zawsze ich dotkliwie bił. Pewnego razu wkraść się do naszego komanda jakiś konfident reichsdeutsch z Łodzi. Postaraliśmy się oczywiście, by Müller dowiedział się o tym jak najszybciej, a wówczas wraz ze swoim zastępcą Herfurthem powiesił owego konfidenta w składzie narzędzi na łańcuchu za ręce, pobił go i wyrzucił. W sprawie tej interweniował u Müllera Palitzsch, lecz Müller, mając za sobą Hößa, powiedział mu, iż ludzie nasłani dezorganizują mu pracę, że dobiera on sobie ludzi pewnych i za ludzi tych przyjmuje odpowiedzialność. Dzięki temu za czasów Müllera nie mieliśmy w ślusarni konfidentów i temu tylko przypisać należy, iż z komanda ślusarni nikt nie został rozstrzelany na skutek denuncjacji.

Przypominam sobie również, iż Müller, przechodząc pewnego razu przez plac apelowy w czasie, gdy wymierzano tam na koźle karę chłosty, wskazał ręką w stronę miejsca kaźni i powiedział: „Oto pomnik kultury narodu niemieckiego”. Za czasów Müllera komando ślusarni rozrosło się do 200 ludzi, pod koniec liczyło ok. 250 ludzi. Müller z zasady nie przyjmował do swego komanda reichsdeutschów. O ile sobie przypominam, pracowało tam najwyżej trzech. Pewnego razu przyjął kowala reichsdeutscha, który pobiegł do niego na skargę, iż więźniowie nic nie robią, tylko grzeją się przy ogniu, palą papierosy i gotują. Müller pobił go i wyrzucił ze ślusarni, mówiąc, iż on wie dokładnie, co więźniowie robią. Nam natomiast oświadczył, że kowala owego wyrzucił dlatego, że skoro on dziś chodzi ze skargą do niego, to jutro oskarżyć może jego przed SS-manami. SS-manów do ślusarni [Müller] nie wpuszczał. Sam bił więźniów, i to dotkliwie, aczkolwiek w sposób bestialski ich nie maltretował. Bił więźniów wtedy, gdy przyłapał ich na jakimś przewinieniu, np. na paleniu papierosów lub gotowaniu. Mówił, że bije dlatego, iż więzień pozwolił się złapać, bo skoro pozwolił się złapać jemu, to na pewno nie uchroni się również, gdy wpadnie jakaś kontrola z zewnątrz.

Müller był kapo ślusarni do września 1942 r. W miesiącu tym został zwolniony jako więzień i objął kierownictwo wszystkich warsztatów, a więc i ślusarni, już jako cywilny robotnik.



W miejsce Müllera kapo został Willi Kühne, również przestępca pospolity z owej setki reichsdeutschów, których później przysłano do Oświęcimia.

Cywilnym kierownikiem warsztatów Müller był tylko ok. dwóch miesięcy, gdyż podpity pokłócił się w kantine SS z Lagerführerem Seidlerem, któremu zarzucił, że przyszedł do Oświęcimia jako dziad z workiem, a tu wzbogacił się, okradając Polaków i zabierając im mienie. Seidler strzelił wówczas do Müllera z rewolweru, zranił go jednak tylko lekko, sprawa zakończyła się zamknięciem Müllera w bunkrze bloku 11., gdzie przebywał prawie rok i na jesieni 1943 r., na żądanie Seidlera, którego w międzyczasie wysłano do Mauthausen-Gusen, przeniesiony został do tego obozu jako więzień.

W tym czasie, gdy Müller kierował ślusarnią jako cywilny pracownik, jego następcą na stanowisku kapo, Kühne, zachowywał się przyzwoicie. Również i SS-mani nie znęcali się nad więźniami zatrudnionymi w ślusarni. Po zamknięciu Müllera w bunkrze kierownictwo warsztatów objął w jego miejsce Rottenführer Blanke. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, szatyn o płaskiej kościstej twarzy, dużej głowie i długiej szyi, mógł mieć ok. 28 lat. Chodził po warsztatach stale z kijem, bił, kopał i na wszelkie możliwe sposoby maltretował więźniów. Tak samo zachowywał się Kühne, który po zamknięciu Müllera zmienił radykalnie swój stosunek do więźniów. Zastępcą Kühnego był reichsdeutsch z czarnym winklem Albert Wojtas. Za czasów Müllera pracował on u mnie na bormaszynie i siedział cichutko, po zamknięciu Müllera bił więźniów tak samo jak Kühne i Blanke.

Komando ślusarni nie miało początkowo *Kommandoführera* z ramienia SS. Pierwszego *Kommandoführera* przydzielono do ślusarni jesienią 1942 r. Funkcję tę objął *Rottenführer* Edward Lubusch z Bielska. Początkowo bił on więźniów, a później się zmienił. Do stycznia 1943 r. ślusarnia prowadzona była pod zarządem *Bauleitungu*. W styczniu 1943 r. przeszła pod zarząd *Deutsche Ausrüstungswerke* (DAW) i wówczas Lubusch został przeniesiony do innego komanda *Bauleitungu*. Na jego miejsce przyszedł do ślusarni *Oberscharführer* Kassner, a także jego zastępca, jednoręki *Rottenführer*, którego nazwiska nie pamiętam. Nie miał on lewej ręki. Mimo swego kalectwa bił więźniów i znęcał się nad nimi.

Specjalnych *Vorarbeiterów* w ślusarni nie było. Byliśmy podzieleni na kolumny robocze [*Kolonne*], które pracowały przy poszczególnych stołach warsztatowych. Jeden spośród zatrudnionych przy tym stole, inteligentniejszy, który wyznawał się na rysunkach, był



*Kolonnenführerem*, on kierował pracą przy stole warsztatowym i był za nią odpowiedzialny. Początkowo pracowaliśmy pomieszani razem z Żydami, Rosjanami i innymi narodowościami. W 1944 r. Żydzi utworzyli osobną kolonę i pracowali w druciarni, *Kolonnenführerem* był tam również Żyd. *Schreiberami* ślusarni byli: reichsdeutsch Bruno Gałuszka (nr 10415) rodem z Cieszyna, reichsdeutsch Pioch z Gdańska oraz Polacy: Bodnarowski z Krakowa i Wilhelm Czaja ze Śląska. Magazynierem centralnego magazynu narzędzi był inż. Kubiński z Mościc, a jego pomocnikiem Edward Huberkiewicz z Leszna. Kreślarzem warsztatowym był Bolesław Ginin z Warszawy.

Gdy 20 sierpnia 1940 r. przydzielony zostałem do ślusarni, nie znalazłem tam żadnych narzędzi rytowniczych ani też [takich] narzędzi, przy pomocy których mógłbym sobie narzędzia rytownicze sporządzić. Prymitywnymi środkami ukułem sobie rylce i rylcem tym zrobiłem pierwszą wizytówkę, dla ówczesnego komendanta obozu Krammera. Pracę tę wykonywałem kilka dni. Ponieważ robota moja podobała się Müllerowi, zatrudniony zostałem na stałe jako rytownik. Ryłem napisy na różnych tabliczkach i miedzianych naczyniach, kutych przez więźnia Kaima. Jako grawer pracowałem przez cały czas, gdy ślusarnia mieściła się w starym budynku między blokami 1. a 2., a w nowej ślusarni do grudnia 1940 r. W tym miesiącu Müller przyjął więźnia Jana Buchtę z Krakowa jako drugiego grawera, a mnie przeniósł do tokarni.

Jako tokarz pracowałem już do końca mego pobytu w ślusarni, najpierw jako zwykły tokarz, a później jako *Kolonnenführer*. Kolona ta nazywała się *Maschinenkolonne*. Prócz mnie pracowali w niej: Kazimierz Zając z Okocimia (nr 261), Kazimierz Kaszubski z Kalisza, Alojzy Brylski ze Śląska, Antoni Kubica z Bielska, Ryszard Malinowski z Brzeszcz, Stanisław Lasoń z Maślachowic, Jugosłowianin Józef Pogaczar z Lublany i – [przez] jakiś czas – Kazimierz Cichecki z Wyszkowa, który w 1942 r. wywieziony został transportem do pracy w stoczni w Hamburgu.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, ślusarnia podlegała początkowo zarządowi *Bauleitungu*, w związku z czym wykonywaliśmy tam pracę przede wszystkim na zlecenie tego oddziału administracji obozowej. Robiliśmy przeważnie śruby, ankry i haki potrzebne do budowy baraków i bloków oraz inne wyroby żelazne potrzebne do urządzania tych bloków (wycieraczki). Również przez *Bauleitung* otrzymywaliśmy zamówienie na wykonanie różnych przedmiotów do mieszkań służbowych różnych SS-manów. Były to przeważnie

świeczniki, lichtarze, popielniczki, żyrandole, lampy stojące, wieszaki itp. przedmioty, służące do ozdoby mieszkań. Specjalistą w tych rzeczach był Jan Liwacz (nr 1010). Dla robót tych miał on osobną kolonę, w której skład wchodził m.in. Roman Struzik z Limanowej, Obtulowicz z Żywca i artysta Lenczewski z Nowego Sącza. Przypominam sobie jeszcze z tej kolony Radwańskiego rodem z Warszawy i Rygusika z Poznańskiego, zdaje się z Leszna. Po odejściu Liwacza Rygusik objął jego kolonę. *Kolonnenführerem* kowali był Durski z Niska, z zawodu pracownik kolejowy, *Kolonnenführerem* siatkarni był Dunikowski rodem z Nowego Sącza. Prócz wymienionych pracowali w ślusarni: Józef Dyntar z Krakowa, Modest Walczyński z Mławy, Zygmunt Goderski z Poznania, Zygmunt Kostkowski z Lublina, Jan Łoboda z Limanowej, Wróbel, Badacz Pisma Świętego ze Śląska, Rygusik z jakiejś wioski koło Leszna, Stanisław Trynka z Krakowa, ul. Mogilska 81, Stanisław Szablewski z Warszawy, reichsdeutsch Hesl, Józef Zalewski z Warszawy, Stanisław Mirek z Nowego Sącza, Puzyger – zdaje się z Tarnowa, Pluta – Ślązak, który później poszedł do wojska niemieckiego, Teschner – reichsdeutsch, który zmarł w Oświęcimiu, Eugeniusz Niewiadomski z Warszawy, Steriwko, Kibala, Lepich, Wachtel, Winterer i inni, których nazwisk nie pamiętam.

Jak już poprzednio wspominałem, większość urządzenia ślusarni pochodziła z warsztatów szkoły klasztornej salezjanów w Oświęcimiu. Stamtąd przywieziono również modele odlewnicze. Były to przeważnie postacie Chrystusa, krzyże, wizerunki i figury świętych. Modele te zrzucono na stos w ślusarni. SS-mani i kapo niemieccy łamali te rzeczy, deptali po nich, podchodzili do nas i naśmiewali się z nas, mówiąc, jacy jesteście głupcy, że w kawał żelaza wierzymy. Zdarzało się, że przy takiej okazji bili więźniów i zapytywali ich: „Dlaczego on cię nie obroni?”, przy czym pokazywali i podstawiali pod oczy figurę Chrystusa lub świętego. Zatrudniony w ślusarni inż. Kubiński z Mościc, chcąc kres temu położyć, ukrył te modele. Zastępca Müllera Herfurth dowiedział się o tym, zwymyślał Kubińskiego, a wtedy on wszystkie modele stopił w piecu, a drewniane spalił.

W 1942 r. zarząd obozu dostarczył do ślusarni pierwszy dzwon kościelny celem przerobienia go na gong obozowy. Dzwon ten pochodził z kościoła z którejś z pobliskich wiosek. Ozdobiony był ornamentami i napisami o treści religijnej. Müller kazał je stoczyć na tokarni i wyryć na dzwonie napis „KL Auschwitz”. Pierwszy dzwon stoczył więzień Władysław Milecki. Dzwon ten zamieszczono na żelaznym trójnogu przed kuchnią. Ponieważ jednak zawieszono go sztywno, tak że poruszało się tylko serce dzwonu, pękł on po czterech miesiącach. Kolejne dwa dzwony przywieziono jednocześnie. Zostały stoczone, pozbawione

ornamentacji i napisów kościelnych i również umieszczone na sztywno – drugi na rogu kuchni przy placu muzycznym, a po jego pęknięciu trzeci – na budynku kuchennym. Wszystkie trzy zmontowane były na sztywno i z tego powodu pękły. Czwarty umieszczono przed kuchnią w kapliczce, która do tej pory tam się znajduje. Ten dzwon umocowano ruchomo i utrzymał się do dziś. Budkę, w której się znajduje, nazwaliśmy „kapliczką św. Kaduka”, od nazwiska osławionego w obozie *Rapportführera* Kaduka, który w budce tej przyjmował raport. Był to Ślązak z Chorzowa, mówiący bardzo dobrze po polsku. Wysoki, pochylony, liczący ok. 35 lat. Chodził stale pijany i był postrachem obozu. Bił więźniów bez żadnej przyczyny, wpadał na bloki, przeprowadzał rewizję, gdy znalazł u więźnia jakąś rzecz pochodzącą spoza obozu, zabierał mu ją i albo takiego więźnia odprowadzał do Oddziału Politycznego, albo też wchodził z nim w układ i szantażował go. Najczęściej żądał od więźniów wódki i kiełbasy. Po likwidacji obozu oświęcimskiego spotkałem go w Mauthausen.

Jesienią 1942 r. pojawił się w Oświęcimiu lotnik z Wehrmachtu, *Oberleutnant Obermedizinalrat* dr Schumann, profesor z Berlina. Był to mężczyzna ok. 38 lat, wysoki, ze szramą na lewym policzku. Zainstalował on przy pomocy inżynierów i pracowników Siemensu dwa aparaty rentgenowskie na bloku 30. obozu kobiecego w Brzezince. Po odjeździe pracowników Siemensu przyjął do konserwacji tych aparatów Czecha, Stanisława Slezaka, zatrudnionego w kolonii elektryków *Bauleitungu*. Ze Slezakiem mieszkaliśmy na jednym bloku. Opowiadał mi on, do czego używane są owe aparaty i jaka jest ich konstrukcja. Aparaty rentgenowskie były umieszczone na podstawach konstrukcji metalowej i poruszane na zabetonowanych szynach. Każdy aparat posiadał *Rentgenbombę*. Skonstruowane one były na 250 000 V i 40 mA. Przewody prądu skonstruowane były w ten sposób, że chłodzone były oliwą przepływającą ich wnętrzem. W zbiornikach pomp znajdowała się miedziana spirala, którą przepływała zimna woda dla chłodzenia oliwy, i wyłącznik rtęciowy, zabezpieczający aparaty przed przegrzaniem. Oba aparaty połączone były kablami z kabiną o podwójnych, izolowanych ołowiem ścianach grubości pięciu milimetrów, w której znajdowały się aparatura kontrolna i aparatura do obsługi *Rentgenbomb*. W kabinie tej, posiadającej ołowianą szybę, siedział Schumann i obserwował przebieg zabiegu oraz dozował naświetlanie.

Przy pomocy tych aparatów sterylizowano kobiety i mężczyzn. Kobiety ustawiano między oboma aparatami na taborecie, przykładano w okolice krzyża jeden filtr *Rentgenbomb*, a z przodu filtr bomby drugiego aparatu. Naświetlanie takie trwało od 5 do 15 min. Napięcie i natężenie prądu oraz czas naświetlania regulował sam Schumann, w zależności od tego,

co chciał przez naświetlanie osiągnąć. Po takim zabiegu wiele kobiet tam wymiotowało. Widzieliśmy je, powracające pieszo z Brzezinki do Oświęcimia, gdzie umieszczano je na bloku 10. Szły pochylone i trzymały się za brzuchy. Wiele z tych kobiet na bloku 10. zmarło z powodu spalenia części naświetlanych. Inne, u których występowały owrzodzenia, posyłano do gazu lub szpilowano.

Mężczyzn naświetlano tylko jednym aparatem. Spalano tylko jedno jądro, drugie zasłanianio ołowiem na czas naświetlania. Po zabiegu wracali oni na normalne bloki, mieli najwyżej jeden dzień wolnego, a już w dniu następnym, bez względu na stan zdrowia, pędzono ich do pracy. Wielu mężczyzn zmarło z powodu naświetlania. Ci, którzy przeżyli, byli po miesiącu kastrowani przez Schumanna w szpitalu. Wycięte jądra zabierał Schumann do słoików i wywoził do Berlina.

Do zabiegów wybierano młodych i zdrowych ludzi, przeważnie greckich Żydów i Żydówki, których na żądanie Schumanna wybierał z poszczególnych bloków Schillinger.

W czasie jednego posiedzenia Schumann dokonywał zabiegu na ok. 30 kobietach. Początkowo, w pierwszych miesiącach, urządzał on naświetlania dwa do trzech razy w tygodniu. W maju 1943 r. zepsuła się pompa obsługująca jeden z aparatów. Z książki ślusarni wynika, że pompę tę ja miałem wówczas naprawić (pozycja bieżąca nr 433). Polecił mnie wówczas Schumannowi Slezak. Otrzymałem od Schumanna przepustkę, na podstawie której miałem wolny wstęp na oddział kobiecy. Wymontowałem obie pompy, zorientowałem się w ich konstrukcji i jedną rozmyślnie i świadomie tak zostawiłem, że się zepsuła i narzędziami stojącymi do dyspozycji w ślusarni nie mogła już być naprawiona. W ten sposób unieruchomiony został na trwałe jeden aparat. Schumann wysłał go do Rzeszy celem naprawy. Od tej pory kobiet już nie sterylizowano, ponieważ były do tego potrzebne dwa aparaty, a czynny był tylko jeden. Sterylizowano więc tylko mężczyzn, aż do września 1944 r. We wrześniu 1944 r. Schumann wyjechał. Aparaturę rentgenowską bloku 30. objął po nim Mengele, który używał jej do swoich celów. Resztę aparatury rozmontowano w grudniu 1944 r. i wywieziono do Rzeszy.

Opisanej aparatury używał Schumann również do przeprowadzenia eksperymentów nad leczeniem raka. W tym celu dostarczono mu cygańskie dzieci w wieku 3–16 lat, wybrano je z obozu cygańskiego. Miały one na głowie, w największej liczbie wypadków w jamie ustnej

i na wargach, owrzodzenia rakowe, które – jak nam mówiono – wywołane zostały sztucznym przeszczepieniem. Eksperymenty te przeprowadził Schumann na ok. 80 cygańskich dzieciach, które wszystkie wymarły. Stały one do wyłącznej dyspozycji Schumanna, który jeździł do obozu cygańskiego i wybierał sobie dzieci do eksperymentowania. Rzuciło się wszystkim więźniom w oczy, że właśnie dzieci dotknięte są rakiem, podczas gdy u starszych Cyganów choroby tej nie widzieliśmy.

Przepustki, wystawionej mi przez Schumanna w maju 1943 r. w związku z naprawą pompy aparatury rentgenowskiej, nie zwróciłem mu, miałem ją stale przy sobie prawie do końca 1944 r. i na jej podstawie mogłem swobodnie poruszać się po całym obozie w Brzezince. Slezak, jako przydzielony na stałe do konserwacji tej aparatury, spędzał cały dzień roboczy na bloku 30. W związku z tym przeniesiony został w styczniu 1944 r. na stałe do lagru w Brzezince. Posiadając przepustkę, odwiedzałem go na bloku 30. i przy tej okazji miałem możliwość dokładnego poznania znajdującej się tam aparatury oraz dowiedzenia się od Slezaka niektórych szczegółów zabiegów dokonywanych przy pomocy tej aparatury przez Schumanna.

Kobiety niechętnie rozbierały się i poddawały naświetleniom. Schumann miał długą, cienką różgę, którą bił ociągające się kobiety. Chodząc po obozie kobiecym, przekonałem się, że SS-manki i SS-mani bili więźniarki tak samo jak na oddziałach bito mężczyzn. Sam byłem świadkiem procedury wpuszczenia do obozu kobiet wracających z komanda pracy. *Rottenführer* Taube stał w bramie obozowej, trzymał laskę na wysokości ok. 50 cm od ziemi. Kobiety, powracające z pracy w drewniakach holenderskich, musiały przez nią skakać. Te, które przeskoczyły, szły na swoje bloki, a te, które przeskoczyły, zapisywane były przez Schillingerę i kierowane następnie na blok 25. W oddziale był to magazyn ludzi niezdatnych do dalszej pracy, których po wypełnieniu się bloku wywożono autami do gazu. Zaznaczam, iż kobiety wracające z pracy były wygłodzone, ponieważ obiadu na komandzie pracy nie dostawały. Posiłek ten wydawano im dopiero wieczorem w obozie.

Dokładne schematy aparatury rentgenowskiej i prospekty ilustrujące przy pomocy materiału fotograficznego sposób używania tej aparatury, a wreszcie spis osób, na których Schumann przy pomocy tej aparatury wykonywał zabiegi, posiadał Slezak. 4 stycznia 1945 r. został on wysłany wraz z pięcioma aryjczykami z *Sonderkommando* do Mauthausen. Przed pójściem Slezaka do sauny prosiłem go, by oddał mi te dokumenty do przechowania. Uparł się, zabrał je ze sobą i gdy widziałem go powracającego z sauny, nie miał teczek, w których dokumenty te

przechowywał. W Mauthausen, dokąd zostałem później wysłany transportem, dowiedziałem się, że Slezak i owi aryjczycy z *Sonderkommando* zostali po dwóch dniach pobytu w obozie w Mauthausen rozstrzelani. Wiadomość tę podał mi najpierw Władysław ze Starachowic (nazwiska jego nie pamiętam), a następnie potwierdził były *Rapportschreiber* w Oświęcimiu, Kistel, który jako więzień zatrudniony był w biurze politycznym w Mauthausen. Przed wyjazdem do Mauthausen Slezak oświadczył mi, że wyjeżdża z Oświęcimia na specjalne żądanie Schumanna i będzie dalej u niego pracować.

Wiosną 1943 r. wykonałem pierwszą pracę dla rzeźni obozowej. Rzeźnia ta należała organizacyjnie do Deutsche Lebensmittel GmbH, która ubrana w formę spółki z ograniczoną odpowiedzialnością należała jednak do administracji obozu i zarządzana była przez SS-manów. Kierownikiem spółki był *Untersturmführer* Engelbrecht, a kierownikiem rzeźni najpierw *Unterscharführer* Loss, a następnie *Unterscharführer* Ormańczyk [Ormanschik]. Po Ormanschiku szefem rzeźni został *Unterscharführer* Jany z Opola.

Pierwszą pracą, którą wykonałem dla rzeźni, była naprawa szprycy do wyrobu kiełbas. Przy pracy tej nawiązałem kontakt z ludźmi zatrudnionymi w rzeźni, a w szczególności z moim przyjacielem tam pracującym, inż. Stanisławem Załęskim, elektrykiem z Warszawy. Ułożyliśmy między sobą, że Załęcki co pewien czas coś w rzeźni zepsuje i będzie wzywał mnie do naprawy. Chodziło o to, bym mógł chodzić do rzeźni i wynosić stamtąd mięso, słoninę, kiełbasę i inne środki żywności. Ponieważ wszystkie roboty dla rzeźni wykonywaliśmy w ślusarni bez zlecenia jej kierownictwa, mogłem rozmawiać zarówno z Lossem, jak i Engelbrechtem na temat wynoszenia przeze mnie z rzeźni artykułów mięsnych. Zapowiedzieli oni posterunkom, iż za pracę wykonywaną dla rzeźni otrzymuję oficjalnie od nich środki żywności i dlatego nie należy mnie rewidować. Oczywiście zezwalali mi oni na zabranie kawałka kiełbasy, ja zaś zabierałem każdorazowo po sześć kiełbas i wynosiłem je do ślusarni. Będąc w rzeźni, sam najadałem się do syta, tak że wykradzione kiełbasy mogłem rozdzielić między kolegów lub wysłać do szpitala. Umówiłem się zresztą z Załęskim, że trzy kiełbasy rozdzielę w ślusarni, a trzy pójdą na bloki i do szpitala.

Z rzeźni wynosiłem towar pod pasem. Początkowo nie miałem w tym wprawy, ale z czasem się wyćwiczyłem i, jak już zaznaczyłem, udawało mi się naraz przenieść sześć jednokilogramowych kiełbas. Część przeznaczoną do obozu transportowaliśmy tam w ten sposób, że ładowaliśmy kiełbasy w wydrążenie dyszla wózka, którym przywożono nam obiad, [albo] do specjalnie w tym celu sporządzonego kotła na zupę lub do butli od aparatu do spawania.



Komando rzeźni wraz ze swoim kapo Zdziskiem z Poznańskiego pracowało bardzo ofiarnie, ułatwiało wynoszenie [produktów] z rzeźni i sami ludzie z tego komanda również dużo stamtąd wynosili. Specjalistą od tego był więzień Tadek Baut z Żywca, który pracował przy wywozie kości z rzeźni. Ładował do taczek kiełbasy, przyrzucał je kośćmi i wywoził poza strażę rzeźni, skąd inni więźniowie produkty te zabierali i przemycali do obozu. Bardzo dużo wyniósł z rzeźni na obóz m.in. o. Augustyn Mańkowski. W związku z tym wymienić by należało jeszcze więźnia Mieczysława Zawadzkiego z Warszawy, który pracował w chłodni rzeźni i zupełnie bezinteresownie umożliwiał wykradanie towarów, wysyłając je windą do góry, skąd zabierali je inni więźniowie.

Oczywiście przy rozgałęzionym systemie szpiclowania nie obeszło się i tu bez ofiar. Jesienią 1943 r. rozstrzelano czterech ludzi w związku z wynoszeniem mięsa i kiełbas z rzeźni. Zatrudnieni w rzeźni Stanisław Cygan z Krakowa, Stanisław Witek z Limanowej i trzeci więzień Polak, którego nazwiska nie pamiętam, wynieśli z rzeźni pół świni. Mięso odebrał od nich Wilhelm Kłak pochodzący z Krynicy, zatrudniony w malarni, i przetransportował na blok 15a. Tam dokonano rozdziału pomiędzy więźniów. Dowiedział się o tym wymieniony już przeze mnie konfident Oddziału Politycznego Dorosiewicz i sprawę wysypał. Kłaka wezwano do Oddziału Politycznego, zbito go i przyprowadzono do rzeźni. Tu ustawiono wszystkich więźniów, pośród których Kłak wskazał Cygana, Witka i owego trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam, jako sprawców kradzieży. W sprawę tę zamieszanych było więcej więźniów, których Kłak jednak nie wydał. Cygan i dwaj pozostali, mimo iż w Oddziale Politycznym torturowano ich w straszliwy sposób, żadnego z dalszych współników nie wydali i tylko oni trzej oraz Kłak zostali rozstrzelani.

Przy czyszczeniu flaków cielęcych w rzeźni zatrudniony był więzień Stanisław, którego nazywaliśmy „Stanisław Rodzinka”, ponieważ do wszystkich więźniów mówił: „Jak się masz, kochana rodzinco?”. Było to starszy mężczyzna, praca była ciężka, żalił mi się więc i mówił, że gdyby nie chodziło mu o jedzenie, rzuciłby tę pracę. Obserwując narzędzia, którymi „Rodzinka” obrabiał flaki, doszedłem do przekonania, że można by je udoskonalić, i wpadłem na pomysł skonstruowania specjalnej maszynki do rozcinania flaków cielęcych. Powiedziałem to „Rodzince”, a „Rodzinka” szefowi rzeźni Lossowi. Ten ze mną pertraktował, zgodził się na żywienie mnie i wydawanie poza rzeźnię kiełbasy, byłem mu tylko skonstruował taką maszynkę. Prace umyślnie przeciągałem dość długo, chodziłem często z byle jakim kawałkiem żelaza do rzeźni, przymierzałem to żelazo do flaków i w ten sposób



konstruowałem ok. trzech tygodni ową maszynkę. Ponieważ Loss zaczął się niecierpliwić, musiałem ostatecznie prace zakończyć i przyrzeczoną maszynkę rzeczywiście wykonałem. Przyspieszała ona pracę dziesięciokrotnie, przy czym sama praca stała się zupełnie lekka. Loss był bardzo zadowolony z mej pracy i zażądał ode mnie, abym zrobił mu rysunki techniczne i opis techniczny maszynki. Zapytany przeze mnie, do czego mu to potrzebne, dał mi wymijającą odpowiedź. Okazało się później, iż ów Loss opatentował skonstruowaną przeze mnie maszynkę na swoje nazwisko w Katowicach lub we Wrocławiu i patent sprzedał jakiejś firmie rzeźnickiej. W jakiś czas później wezwano mnie do Oddziału Politycznego, gdzie okazano mi otrzymane tam pismo, według treści którego zabroniono ślusarni obozowej wyrobu takiej maszynki. Treść tego pisma podano mi do wiadomości i zakomunikowano mi, iż gdybym do zakazu wyroku się nie stosował, będę sądownie karany. Zobowiązanie takie musiałem podpisać w Oddziale Politycznym.

Odchodząc z rzeźni, Loss zabrał stamtąd i tę maszynkę, która była dla niej zrobiona. Wówczas Engelbrecht zamówił u mnie drugą maszynkę, której konstrukcję jednak zmieniłem, nie chcąc popaść w konflikt z Oddziałem Politycznym i naruszyć praw patentowych Lossa. Zasada pozostała ta sama, zmieniłem tylko szczegóły techniczne. Maszynka, która obecnie znajduje się w posiadaniu Komisji, jest właśnie tą drugą, którą wykonałem na zamówienie Engelbrechta dla rzeźni obozowej.

W związku z konstruowaniem tej maszynki, zarówno Loss, jak i jego następcy oraz Engelbrecht pozwalali mi wnosić z rzeźni mięso i kiełbasy, a także, na moją prośbę, zezwolili mi na wnoszenie z rzeźni wiadra zupy dla więźniów, którzy wraz ze mną pracowali w ślusarni. Zatrudniani w rzeźni więźniowie do wiadra tego wrzucali drobno zmielone mięso, rozpuszczali w zupie kiszki pasztetowe przeznaczone dla SS-manów i dolewali smalcu, tak że wynoszoną przeze mnie potrawą mogłem poratować i podtrzymać na siłach bardzo wielu więźniów. Sam tej zupy nie jadłem, ponieważ chodząc do rzeźni, jadłem tam na miejscu. Będąc syty, oddawałem więźniom również moją porcję lagrową. Zupę z rzeźni rozdzielałem pomiędzy najślabszych, którzy z głodu zupełnie utracili siły. Oczywiście na tle podziału dochodziło do nieporozumień, bo nie byłem w stanie jednym wiadrem nakarmić 200 ludzi. Mimo to kierowałem się przy rozdziale przede wszystkim tym, czy ktoś rzeczywiście potrzebuje dożywienia z uwagi na stan zdrowia.

Po wsypie Dorosiewicza i Kłaka zaostorzono kontrolę w rzeźni i zaczęto również mnie rewidować. W związku z tym musieliśmy szukać innych sposobów [wynoszenia towarów].

Więźniowie zatrudnieni w rzeźni wysyłali je poza jej obręb przez mleczarnię, przez otwór prowadzący do mleczarni. Był on szczelnie zamaskowany i znany tylko wtajemniczonym. Sprawą tą kierował Załęski.

Dla ślusarni przenosiliśmy towary z rzeźni w butlach do aparatów spawalniczych. W butli takiej wmontowałem denko w odległości 150 mm od zaworu. Przestrzeń pomiędzy tym drugim denkiem a zaworem napełniałem acetylenem. Gazu tego wystarczyło mi do spawania przez około godzinę, małym palnikiem. Reszta wnętrza butli przeznaczona była na transport kiełbas. Wkładaliśmy je tam po odkręceniu dna butli. Załęski starał się o to już we własnym zakresie, by spawacze jak najczęściej potrzebni byli w rzeźni. Butlą tą przewożiliśmy również mięso i wyroby mięsne do Brzezinki na oddział kobiecy, dla matek i siostr więźniów z rzeźni lub u nas zatrudnionych, i dla innych kolegów więźniów. Bardzo dużo produktów z rzeźni szło dla chorych więźniów.

W rzeźni zatrudnionych było ok. 120 więźniów, przerabiano tam dziennie duże ilości mięsa, dochodziło do tego, iż w pewnych dniach było w chłodni nawet do 80 tys. kg mięsa. Rachunkowość i księgowość rzeźni prowadził kapo Zdzisek, który w księgowości tej krył oczywiście wszystko to, co dla więźniów poza rzeźnię w sposób nielegalny wychodziło. W październiku 1944 r. wysłano [zarówno] Zdziska, jak i wielu innych więźniów transportem do Rzeszy. Kapo w jego miejsce został reichsdeutsch Willi. Po skontrolowaniu ksiąg okazało się, że za czas, w którym kapo był Zdzisek, pomimo iż on i jego ludzie starali się braku powstałe przez wynoszenie towarów na obóz nadrabiać wodą i w inne im znane sposoby, brakuje ok. 10 tys. kg przeważnie słoniny i tłuszczu. W sprawie tej złożył Oddziałowi Politycznemu wyjaśnienia Manek, więzień, który za czasów Zdziska był *Schreiberem*. Pochodził ze Śląska i był *volksdeutschem*. Po jego wyjaśnieniach wysłano z Oświęcimia trzech SS-manów celem dotransportowania Zdziska dla przeprowadzenia dochodzeń. Zdzisek zorientował się, o co chodzi, i w czasie podróży wyskoczył z pociągu. Co się z nim stało i czy żyje, nie wiem. W każdym razie SS-mani do Oświęcimia go nie przywieźli.

Pierwsze rozstrzeliwanie więźniów po moim przybyciu do obozu obserwowałem ze ślusarni, gdzie – jak już wspominałem – pracowaliśmy także po apelu wieczornym. Rozstrzeliwania odbywały się w tym czasie przy palikach, które znajdowały się w tym miejscu, gdzie później wybudowano nową rzeźnię. Było tam wkopanych w ziemię osiem palików w odległości około trzech metrów jeden od drugiego. Każdy palik miał żelazne kółko, do którego przywiązywano

więźnia rękami wykręconymi do tyłu. Rozstrzeliwań dokonywał pluton egzekucyjny w hełmach, którym dowodził oficer służbowy SS. Rozstrzeliwanym, którzy byli rozebrani do pasa, nie zawiązywano oczu.

W grudniu 1940 r. przywieziono autobusem 40 Polaków z Katowic. Byli oni ubrani tylko w drelichy, bez bielizny, bez butów i bez czapek. Trzymano ich boso na śniegu ok. pół godziny. Po jakimś czasie przyszedł komendant obozu Höß wraz z Grabnerem z Oddziału Politycznego i zawiadomili skazańców, że nie zostaną rozstrzelani, ponieważ zostali ułaskawieni i karę śmierci zmieniono im na dożywotnie więzienie. Wszystkich tych więźniów oznaczono literami „IL” [im Lager – „w obrębie obozu”], wcielono do kompanii karnej i umieszczono na bloku 11., który oznaczony był wówczas nr. 13. Ludzie ci w stroju, który już poprzednio opisałem, a więc boso, bez bielizny i bez czapek, pracowali na placu apelowym przy zwijaniu drutu i odbijaniu cegieł z zaprawy. Pracę tę musieli wykonywać w pozycji siedzącej, siedząc na kamieniu, i na skutek przemarznięcia wszyscy w ciągu tygodnia zmarli.

Później odbywały się rozstrzeliwania dokonywane przez pluton egzekucyjny w dołach ziemnych, tam gdzie obecnie znajduje się Blockführerstuba, przed bramą wjazdową [z napisem] „Arbeit mach frei”. Stąd przeniesiono plac rozstrzeliwań dalej w stronę bocznicy kolejowej, w kierunku obecnego *Bauhofu*. Tam dokonano w lipcu 1942 r. pierwszego większego rozstrzelania. Rozstrzelano mianowicie 82 Polaków, pochodzących przeważnie z Krakowa, wszystkich wybranych spośród więźniów przez Oddział Polityczny. W grupie tej rozstrzelany został Łyko, ligowy gracz w piłkę nożną z Cracovii. Pamiętam go, ponieważ przed rozstrzelaniem pracował w ślusarni. Z grupy Łyki rozstrzeliwano ludzi dziesiątkami. Wszyscy oni mieli ręce powiązane z tyłu drutem i ci z ostatniej dziesiątki musieli się przez cały czas przyglądać, tak że na ich oczach rozstrzelano ponad 70 towarzyszy. Opowiadali nam to więźniowie, którzy byli zatrudnieni przy usuwaniu zwłok osób rozstrzelanych, oraz więźniowie zatrudnieni w kuchni, którzy przez okna mogli obserwować scenę rozstrzelania. Dowiedzieliśmy się od nich, oprócz podanych już przeze mnie szczegółów, że po rozstrzelaniu każdej dziesiątki przez pluton egzekucyjny *Lagerführer* Fritzsche, znany wśród więźniów polakożerca, i jego zastępcę Seidler podchodzili do rozstrzelanych i Fritzsche albo Seidler oddawał z pistoletu „honorowy strzał” w głowę zmasakrowanych już zwłok, leżących na ziemi, po umilknięciu salwy plutonu egzekucyjnego. Fritzsche mówił przy tym: „Świńskie psy, Polacy, nie jesteście warci tego strzału”.

Późnym latem 1942 r. wybudowano na podwórzu bloku 11. tzw. czarną ścianę śmierci. Jak wiadomo, bloki 10. i 11. połączone są wysokim murem. Przed murem od strony drutów wkopano na podwórzu bloku 11. podkłady kolejowe wysokości około dwóch metrów, szerokości do czterech metrów. Między tę ścianę z progów a mur wsypano piasek i ziemię. Front ściany obito papą. Odtąd rozstrzeliwania odbywały się pod „ścianą śmierci”. Jako pierwszych rozstrzelano tam 11 listopada 1942 r. 42 Polaków, wybranych spośród więźniów przez Oddział Polityczny. Wśród nich znajdowali się więźniowie Przybyło i Kowalik, obaj pochodzący z Bochni. I ci dwaj pracowali w ślusarni, dlatego nazwiska ich pamiętam. Wszystkich 42 rozstrzelał Palitzsch. Prócz niego przy innych rozstrzeliwaniach brali udział Fitze [Pfütze] i Lachmann, obaj z Oddziału Politycznego (*Rapportführer* Pfütze), oraz jeszcze jeden SS-man, zastępca *Arbeitsdienstführera*, nazwiska jego sobie nie przypominam.

Rozstrzeliwanie przy „ścianie śmierci” odbywało się w ten sposób, że blokowy bloku nr 11 wprowadzał dwóch więźniów na podwórze, stawał wraz z nimi, trzymając ich pod ręce, zwrócony twarzą do „czarnej ściany”. Palitzsch podchodził z tyłu i strzelał skazańcom z bezpośredniej odległości w tył głowy. *Lagerälteste* odpychał zastrzelonego na bok, skąd zwłoki zabierali więźniowie pełniący funkcje pielęgniarzy w szpitalu. Zwłoki układano w stosy na krzyż. Początkowo ładowano po dwoje zwłok do jednej trumny i na rolwadze wywożono do krematorium. Gdy było większe rozstrzeliwanie, ładowano zwłoki bez trumien na rolwagę. Krew zbierali ci pielęgniarze łopatami w żelazne koryta i wylewali do kanału. Następnie posypywano całe podwórze piaskiem i dopiero po takim wysprzątaniu ludzie z kompanii karnej mogli wejść na podwórze. Cała droga, którą przejeżdżał wóz ze zwłokami od podwórza bloku 11. aż do krematorium, zboczona była krwią, która obficie ciekła z przewożonych do krematorium zwłok.

Osobiście obserwowałem rozstrzeliwanie pod „czarną ścianą” 11 listopada 1942 r. Wraz z więźniem Stetiwką ze ślusarni naprawialiśmy wówczas blachę koło komina na dachu bloku 20. Ukryliśmy się za kominem, aby nas nie spostrzeżono, i stamtąd mogliśmy całą egzekucję dokładnie obserwować. Widzieliśmy, iż więźniowie doprowadzeni pod „czarną ścianę”, o ile nie mieli związanych rąk, żegnali się znakiem krzyża. Po [ich] pierwszym przeżegnaniu się Palitzsch komenderował: „Noch einmal” i gdy więzień przyłożył rękę po raz drugi do czoła, wówczas padał strzał.

W grudniu 1942 r. po nocach rozstrzeliwano tam bardzo wielu jeńców rosyjskich, których na rano przepędzano na blok 11. setkami. Sypiałem wówczas wraz z Szablewskim,

Maliszewskim i Walczakiem na korytarzu bloku 10., dlatego też słyszałem każdy strzał. Pewnej nocy rozstrzeliwało dwóch SS-manów; przypuszczam, że pomocnikiem Palitzscha – jego poznałem po głosie – był Pfütze. Sądzę, iż owej nocy rozstrzelali oni od godz. 21.30 wieczorem do godz. 4.00 rano ok. 1500 jeńców rosyjskich. Gdy rano zajrzałem z *Waschraumu* bloku 10. na podwórze bloku 11., całe było ono zastane trupami. Trupy te na wozach wywieziono do Brzezinki i tam je pogrzebano.

W 1943 r. rozstrzelano na bloku 11. 260 więźniów przybyłych transportem z Lublina. Jak nam później mówiono, w tym czasie dokonano jakiegoś większego sabotażu w Lubelskiem. Na zarządzenie lubelskiego gestapa Oddział Polityczny wybrał spośród więźniów tych, którzy przybyli transportami z Lublina. Wszystkich 260 umieszczono na bloku 11., a następnie Palitzsch i Pfütze ich rozstrzelali.

Przez cały ten czas, tzn. od 1940 r. do maja 1943 r., odbywały się bezustanne rozstrzeliwania. Więźniowie byli bardzo podenerwowani i zaniepokojeni, Oddział Polityczny doszedł do przekonania, iż należy wyszukać inny sposób uśmiercania, ponieważ rozstrzeliwanie wywołuje niepokój w obozie. Palitzsch urządził odprawę wszystkich blokowych i polecił im zakomunikować więźniom na blokach, że odtąd rozstrzeliwań w obozie nie będzie, ponieważ kara śmierci została zniesiona. Od tego czasu wszystkich skazanych i przeznaczonych przez Oddział Polityczny na śmierć wcielano do komanda kosiarzy. Komando to w zasadzie liczyło 60 ludzi. Ponadto przydzielano do niego, też przez *Arbeitsdienst*, ale na wyraźne zlecenie Oddziału Politycznego, wszystkich skazanych na śmierć. Ludzi tych rozstrzeliwano na miejscu pracy pod pozorem ucieczki. Do lagru przywożono ich na wozach przykrytych trawą. Szczegóły rozstrzeliwań dokonywanych na bloku 11. może najdokładniej opisać Ryszard Malinowski z Brzeszcz, który w okresie największych rozstrzeliwań przebywał na bloku 11. ok. 14 miesięcy.

Pierwsze egzekucje przez powieszenie zaobserwowałem w obozie latem 1943 r. Egzekucje te odbywały się po apelu wieczornym. Wszystkich więźniów z całego obozu ustawiano na placu apelowym, na którym wzniesione były w czasie pierwszej egzekucji, przy której byłem, dwie szubienice. Skazańców ustawiano obok nich. Tu Lachmann odczytał im w języku polskim wyrok, z którego treści wynikało, iż obaj zostali skazani na śmierć przez powieszenie za próbę ucieczki. Obaj skazańcy mieli ręce związane z tyłu, na sobie mieli tylko drelichy, nie posiadali bielizny, butów ani czapek. Byli to młodzi Polacy, jeden mógł mieć 20, a drugi ok. 25 lat. Na zarządzenie ówczesnego *Lagerführera* Aumeiera po odczytaniu

wyroku zaprowadzono ich do *Schreibstuby* na bloku 24., gdzie wymierzono im jeszcze 25 kijów. Następnie przyprowadzono ich pod szubienicę. Po taborecie każdy wszedł na podstawę jednej szubienicy. Tu założyli im pętle na szyję dwaj więźniowie, przyprowadzeni na szubienicę z bunkra 11. wraz z obu skazanymi. Ci dwaj zakładający pętlę byli również skazani na śmierć i zostali po kilku dniach na tych samych szubienicach i w ten sam sposób powieszani. Tym dwu następnym zakładał pętlę kapo *Fahrbereischaftu*, znany w obozie konfident, reichsdeutsch, Johann Maniewski z Poznania. Był to były szofer gestapo, miał numer z czerwonym winklem.

Szubienice były różnie zbudowane. Na jednej z nich wieszano przez wrywanie spod nóg więźnia stołka, na którym on stał; druga miała korbową zapadnię. Przy straceniu pierwszych dwóch więźniów, stołek spod nóg więźnia wyrwał *Lagerälteste* Bruno nr 1, reichsdeutsch z zielonym winklem. Nazywał się Brodniewicz, pochodził również z Poznania. Zapadnię drugiej szubienicy otworzył za pomocą korby SS-man Kaduk. Wisielec z szubienicy z zapadnią męczył się dość długo, widocznie pętlę miał źle założoną, bo próbował się oprzeć o brzegi zapadni, a wówczas podbiegł Bruno, chwycił wisielca za nogi i szarpnął go w dół kilka razy. Zwłoki wisały na szubienicy przez całą noc. Obaj skazani zachowywali się przed egzekucją zupełnie spokojnie, stali z głowami podniesionymi do góry, nie płakali i nic nie mówili.

Po kilkunastu dniach w tym samym miejscu i na tych samych szubienicach powieszono dalszych dwu skazańców. Byli to również Polacy, młodzi chłopcy, którzy skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie za próbę ucieczki. I tym razem SS-man z Oddziału Politycznego, mówiący po polsku, odczytał wyrok. Jeden ze skazanych płakał, prosił, by go nie wieszano, że ma jeszcze coś do zeznania. Próba ta nie odniosła skutku i skazaniec został powieszony.

Trzecia egzekucja odbyła się w alei pomiędzy blokami 6. a 16. Powieszono wówczas jednego cywila z wolności, który skazany został na śmierć za udzielanie więźniom pomocy.

Owych 12 więźniów z *Bauleitungu*, z biura pomiarów, wsypanych przez Dorosiewicza, powieszono na placu przed kuchnią. Wkopano tam dwa słupy, na których wierzchołkach umocowano szynę kolejową. Do szyny tej przywiązano 12 postronków, pod którymi stało 12 taboretów. Wieszał kapo *Strassenbau*, Niemiec Sepl. Wszyscy skazańcy stali na swoich taboretach i obserwowali, jak kolejno wiesza się ich kolegów. Dwunasty z owej grupy był świadkiem stracenia wszystkich 11 poprzednich.



Później odbywało się wieszanie więźniów na podwórzu bloku 11. Oczywiście już bez asysty więźniów. Dwukrotnie jeszcze wyniesiono szubienice z bloku 11. i dokonano stracenia przez powieszenie dwóch Żydów w różnych odstępach czasu. Jeden z nich zabłądził w czasie alarmu, przedostał się poza linię straży nad Sołą, bał się przejść przez wodę na drugą stronę rzeki, wrócił do obozu. Został zatrzymany przez stójkowego i za rzekomą próbę ucieczki skazany na śmierć przez powieszenie.

Publicznych egzekucji przez powieszenie dokonywano dla odstraszenia innych więźniów od prób ucieczki. Temu samemu celowi służyło publiczne demonstrowanie zwłok więźniów zastrzelonych w czasie ucieczki. Najczęściej więzień taki nie miał w ogóle zamiaru uciekania. Zasnął po prostu gdzieś w sianie lub w innej kryjówce i nie stawiał się do wieczornego apelu. W takich wypadkach wszczynano akcję poszukiwania i gdy znaleziono brakującego więźnia, rozstrzeliwano go na miejscu. Zwłoki układano następnie podparte na stole przed *Blockführerstubą*, obok bramy [z napisem] „Arbeit macht frei”, i następnego dnia rano musiały przechodzić obok nich wszystkie komanda wyruszające do pracy. W czasie przemarszu wszyscy więźniowie musieli patrzeć w prawo, tzn. w kierunku zwłok. Były one najczęściej w straszny sposób zmasakrowane.

Przypominam sobie, że pewnego razu maszerowaliśmy tak obok czworga zwłok, którym wychodziły wnętrzności z jamy brzusznej. Byliśmy przekonani, że zwłoki te już po śmierci w odpowiedni sposób, dla stworzenia odrażającego i odstraszającego widoku, kaleczono. Owi czterej więźniowie zastrzeleni zostali przez stójkowego SS-mana na komandzie pracy. Na komandzie tym pracowało pięciu więźniów. SS-man zasnął, a wówczas jeden z więźniów zbiegł. Po przebudzeniu się SS-man zastrzelił pozostałych czterech, tłumacząc następnie wobec swoich władz, że wszyscy więźniowie usiłowali zbiec, że w czasie ucieczki zastrzelił czterech, a piąty zbiegł.

Wieszano również w obozie w Brzezince. Tam egzekucje odbywały się na murowanych słupach zbiornika z wodą stojącego przed kuchnią obozową. Powieszono tu m.in. więźnia Edwarda Galińskiego z Jarosławia (nr 531). Był to chłopiec w 20. roku życia. Przed straceniem, stojąc na taborecie pod pętlą stryczka, krzyknął on „Niech żyje Polska”, wsunął głowę w pętlę i starał się usunąć taboret spod nóg. SS-mani podbiegli do niego, zdjęli pętlę z szyi, któryś go uderzył, ponownie założył pętlę i powiesił.



Na tej samej szubienicy powieszono również trzech Rosjan, którzy zbiegli z obozu i po jakimś czasie zostali ujęci. Zarzucano im oprócz ucieczki zamordowanie jakiegoś Niemca. Jeden z owych Rosjan, bardzo silny mężczyzna, stojąc już pod stryczkiem, krzychał: „Niech żyje Rosja, niech żyje Stalin, niech żyje Polska, idziemy na śmierć, ale zostaniemy pomśczeni, bo bracia nasi o nas nie zapomną”. Obecny przy egzekucji SS-man Boger z Oddziału Politycznego uderzył owego Rosjanina ręką w usta. Rosjanin krzychał mimo to dalej i gdy Boger wchodził po schodkach na stół, na którym stał ów Rosjanin pod stryczkiem, [ten] kopnął Bogera w gardło. Boger spadł ze schodków. Podniósł się, wszedł ponownie na stół i chciał owemu Rosjaninowi, który miał ręce z tyłu związane, wepchać chusteczkę do ust. Gdy się mu to nie udało, wyciągnął nóż, rozciął owemu Rosjaninowi usta z obu stron, kawałkiem żelaza rozwarł zaciśnięte zęby i nożem wyciął język. Tak okaleczonego powieszono razem z dwoma dalszymi Rosjanami, którzy zachowywali się biernie. Egzekucja ta odbyła się na oczach Polaków i Rosjan, którzy bez jakiegokolwiek komendy podczas egzekucji zdjęli czapki i w ten sposób oddali cześć ginącym.

Według moich wiadomości pierwsze gazowanie odbyło się w nocy z 14 na 15 i w ciągu dnia 15 sierpnia 1941 r. w bunkrach bloku 11. Datę tę pamiętam dokładnie, ponieważ zbiegła się ona z pierwszą rocznicą mego przybycia do obozu oraz dlatego, że gazowano wówczas pierwszych rosyjskich jeńców wojennych. 14 sierpnia 1941 r. wieczorem pielęgniarze przenieśli ok. 250 chorych z bloków szpitalnych na blok 11. Następnie na blok ten wpędzono kilkuset jeńców rosyjskich, o których mówiono nam, gdy przybyli do obozu, że są to polityczni komisarze. Zarówno chorych, jak i owych jeńców rosyjskich umieszczono w bunkrach bloku 11. Okienka z tych bunkrów były szczelnie zasypane ziemią. Do bunkrów wsypywał gaz przez drzwi od strony korytarza SS-man *Blockführer*, którego nazwiska nie znam, a który wśród więźniów nazywany był „Tom Mix”. Po wsypaniu gazu zamknięto drzwi.

15 sierpnia ok. godz. 16.00 Palitzsch z maską gazową przeszedł przez plac apelowy do bloku 11. Z racji święta Matki Boskiej mieliśmy wówczas wolne popołudnie i mogliśmy sceny, które teraz opisuję, obserwować. Mietek Borek i Wacław Ruski, kalefaktorzy w bunkrze 11., opowiadali mi, że Palitzsch ubrany w maskę gazową otworzył drzwi bunkrów i stwierdził, że znajdujący się tam ludzie jeszcze żyją. Wprawdzie poruszają się tylko na czworakach i są bezsilni, ale są jeszcze żywi. Wówczas wezwano „Toma Mixa”, który ponownie wsypał zawartość puszki gazowej do bunkrów. Ponownie otwarto bunkry dopiero 16 sierpnia 1941 r. wieczorem. Nikt z przebywających tam już nie żył. *Pflegerzy* bloków szpitalnych

wynosili zagazowanych na podwórze, gdzie rozbierano trupy z ubrań, ładowano na rolwagi i wywożono w kierunku Brzezinki. Trwało to całą noc.

Noc tę spędziłem na bloku 21. w gabinecie dentystycznym Janusza Kuczbary. Mogłem dobrze obserwować z tego gabinetu transportowanie zwłok. Pod oknami gabinetu złamała się rolwaga, zwłoki spadły na ziemię i wówczas zobaczyłem, że były one koloru zielonkawego. *Pflegerzy* opowiadali mi, że zwłoki były oślizgłe i schodziła z nich skóra, w wielu wypadkach miały poobgryzane palce, popodgryzane gardła. Widać było z tego, że ludzie ci ginęli w strasznych męczarniach

Następne gazowania odbywały się już w komorze krematorium I. Kierownikiem gazowania w tym krematorium był Hössler. Obserwowałem osobiście ze schodów dawnego bloku 4. (12. według nowej numeracji) przez lukę między oboma budynkami administracyjnymi, jak Hössler wrzucał przez kominki, sterczące ponad kopiec krematorium w pobliżu wentylatora, zawartość puszki gazowej do bunkra. Z Zahnstation szpitala SS widziałem, że obok wrzutni rozsypane były kamyki koloru seledynowo-niebieskawego, wielkości fasoli. Ludzi przeznaczonych do gazowania spędzano wieczorem po apelu na podwórko przed wejściem do krematorium. Podwórko to otoczone było wysokim murem z płyt cementowych. Aż na bloki nasze dochodziły stamtąd krzyki. Słyszeliśmy również strzały dochodzące z tamtej strony. Gazowanie odbywało się po gongu wieczornym. Piece krematoryjne paliły w tym czasie bez przerwy. Gazowano wówczas jeńców rosyjskich, Żydów, Polaków aryjczyków i „muzułmanów” wybieranych ze szpitala.

Zwłok chorych i Rosjan zagazowanych w sierpniu 1941 r. w bunkrach bloku 11. nie spalono w krematorium, tylko – jak już wspominałem – wywieziono je w kierunku Brzezinki i tam pogrzebano w ziemi. Mimo iż warstwy trupów przesypywano chlorem i wapnem, w lecie 1942 r. pod wpływem ciepła zwłoki te zaczęły gnić i mogiła ugięła się jak trzęsawisko. Po jakimś czasie wybuchły gazy gnilne, wobec czego musiano mogiły te zlikwidować. Przekopywano groby i znajdującą się w nich masę gnilną warstwami przepalano przy pomocy miotaczy ognia. Ponieważ w tym czasie naprawiałem zepsuty zawór od butli gazowej, przyniesionej do ślusarni przez SS-mana „Perełkę”, przeto wiem, że do przepalania tych zwłok używano miotaczy acetylenowych. Zwłoki osób zagazowanych później w chatkach w Brzezince również grzebano w ziemi. Odgrzebano je później i spalono w krematorium w Brzezince.

Żadnych większych robót konstrukcyjnych dla krematorium I w Oświęcimiu w ślusarni nie wykonaliśmy. Przypominam sobie, że dla krematorium tego wykonaliśmy w ślusarni według

modelu firmy Topf wózek do ładowania zwłok do pieców, ruszty, ramy żelazne dla komina, ruszty do generatorów i rurę wentylacyjną z komory gazowej. Poza tym wykonywaliśmy tam drobniejsze naprawy. W związku z tymi pracami znałem ludzi zatrudnionych w Sonderkommandzie obsługującym krematorium I.

Przypominam sobie, że pewnego razu piekłem z Mietkiem, Józkim i Wackiem królika na generatorze. Ponieważ w tym czasie wszedł prawie do pokoju przed komorą Lachmann z karabinkiem, nie mogłem już wyjść i musiałem przeczekać w ukryciu za piecem, aż Lachmann wyjdzie z krematorium. Z ukrycia tego widziałem, iż Lachmann, stojąc za drzwiami, rozstrzeliwał ludzi wchodzących do drugiego pokoju przed komorą gazową. Dwóch więźniów z *Sonderkommanda* łapało przewracającego się po strzale więźnia i odkładało na bok. W mej obecności [Lachmann] zastrzelił sześć [osób]. Byli to sami Polacy, przywiezieni samochodem ze Śląska, zdaje się z Mysłowic.

Dla krematoriów w Brzezince robiliśmy obramowania żelazne dla wszystkich pieców krematoryjnych, wszystkie ruszty, wyciągi dla podnoszenia zwłok, okucia do wszystkich drzwi oraz haki, pogrzebacze i narzędzia potrzebne do obsługi pieców i do spalania w dołach. Instalatorzy wykonywali dla tych krematoriów instalacje wodne i kanalizacyjne. Większość tych robót odnotowana jest w książce zamówień ślusarni, którą mi obecnie okazano.

W ślusarni wykonane zostały m.in. ślepe tusze, przeznaczone do komór gazowych, oraz słupy siatkowe do wrzucania zawartości puszek cyklonowych do komór gazowych. Były to słupy wysokości około trzech metrów, o przekroju kwadratowym (ok. 70 cm). Słup taki składał się z trzech siatek umieszczonych jedna w drugiej. Siatka zewnętrzna zrobiona była z drutu [o średnicy] 3 mm, usztywnionego na kantówkach (50 na 10 mm). Kantówki takie znajdowały się we wszystkich rogach słupa. U góry oraz u dołu połączone były ze sobą taką samą kantówką. Oczko siatki miało ok. 45 mm w kwadracie. Druga siatka była tak samo skonstruowana i umieszczona wewnątrz pierwszej w odstępie ok. 150 mm. Oczko tej siatki miało w kwadracie ok. 25 mm. W narożnikach obie te siatki połączone były żelaznymi sztycami. Trzecia część słupa była ruchoma. Był to próżny słup z cienkiej blachy cynkowej, o przekroju ok. 150 mm w kwadracie, zakończony od góry stożkiem, a od dołu równą, kwadratową podstawą. W odstępie ok. 25 mm do brzegów tego słupa przylutowane były na cienkich blaszanych sztycach kantówki z blachy. Na kantówkach tych rozciągnięta była drobna siatka o oczku około jednego milimetra w kwadracie. Siatka ta kończyła się

u podstawy stożka i stąd ku górze, w przedłużeniu siatki bieгло blaszane obramowanie aż do wysokości wierzchołka stożka. Zawartość puszek cyklonowej wsypywano od góry na stożek rozdzielczy, przez co uzyskiwano równomierne rozsypywanie się cyklonu po wszystkich czterech ścianach bocznych słupka. Po ulotnieniu się gazu wyjmowano cały słupek środkowy i usuwano zwietrzałą krzemionkę. Kanały wentylacyjne komory gazowej kute były w ścianach bocznych komory. Otwory wentylacyjne zakryte były przykrywkami z blachy cynkowej, w której znajdowały się okrągłe otwory.

SS-mani w obozie starali się dobierać spośród więźniów konfidentów, którzy by im donosili o wszystkim, co się w obozie dzieje. Przy doborze konfidentów uciekali się do najrozmaitszych systemów, starając się tych, którym niechybnie groziła kara śmierci, nakłonić do służby konfidentów za cenę uratowania życia.

Znany mi jest tego rodzaju wypadek z jakimś więźniem Józkiem, którego bliższych danych osobowych nie znam. Był to 17-letni chłopak, Polak pochodzący z Brzeska, a zaprzyjaźniony z Kazimierzem Zającem (nr 261), który pracował u mnie w ślusarni. W 1943 r. Zajac zwrócił się do mnie jako do *Kolonnenführera* w ślusarni, bym spowodował przyjęcie tego Józka do ślusarni. Ponieważ z Zającem żyłem w dobrych stosunkach i chciałem owemu Józkowi, jego znajomemu, pomóc, postarałem się o to, by istotnie Józek został do ślusarni przyjęty. Obserwując Józka, stwierdziłem, że często wymyka się z pracowni, by handlować przedmiotami, które nabył bądź też skradł w magazynie tzw. *Unterkunft*. Pewnego dnia Józek nie zjawił się w pracy, ja natomiast otrzymałem meldunek, że został on osadzony w bunkrze na bloku 11., po uprzednim przesłuchaniu go w Oddziale Politycznym w związku z przyłapaniem Józka przez SS-mana na przenoszeniu firanek. Po jakimś tygodniu Józek zgłosił się ponownie do pracy. Ponieważ za tego rodzaju czyny, jakie zarzucano Józkowi, normalnie rozstrzeliwano, byłem zdziwiony jego powrotem i zapytałem go, w jaki sposób uniknął śmierci. Dał mi odpowiedź wymijającą. Zacząłem wobec tego bliżej go obserwować, przewidując, że na pewno SS-mani nie wypuścili go z bunkra bezcelowo. W niedługim czasie w porze obiadowej zauważyłem, że Józek przechodzi przez dziurę w parkanie z damską chustką ukrytą pod ubraniem. W tym momencie doszedł do niego SS-man z Oddziału Politycznego, zrewidował go, wyciągnął rękę po chustkę, ale jej nie zabrał, lecz mu [ją] pozostawił, porozmawiał chwilę z Józkiem i odszedł, pozostawiając Józkowi swobodę działania. Zorientowałem się wobec tego, że Józek musi być na usługach Oddziału Politycznego. W związku z tym porozmawiałem z nim otwarcie i Józek przyznał mi się,

że gdy siedział w bunkrze, został już postawiony pod „ścianą śmierci” na rozstrzelanie, a w ostatnim momencie [został] zwolniony, [pod warunkiem], że będzie konfidentem Oddziału Politycznego. Opowiedział mi też, że chustkę, z którą go SS-man przyłapał, miał on stosownie do umowy z owym SS-manem sprzedać jednemu z więźniów na oddziale elektrycznym i włożyć do szuflady tego więźnia po to, by ów SS-man mógł ją następnie stamtąd zabrać, a więźnia zaaresztować i dowiedzieć się, z kim pozostaje w stosunkach handlowych. Wtedy porozmawiałem z Józkiem poważnie, przemawiając mu do sumienia, czym jest dla współwięźniów tego rodzaju jego robota konfidenta, i zażądałem od niego, by [jej] zaniechał. Pod wpływem tej rozmowy Józek ową chustkę zaniósł na oddział elektryczny, ale nie włożył jej do szuflady, do której stosownie do rozmowy z SS-manem miał ją włożyć, lecz umieścić ją w szufladzie jednego z warsztatów, do której mieli dostęp wszyscy więźniowie. Gdy więc SS-man przeprowadzał rewizję, znalazł chustkę w tej szufladzie ogólnej, w związku z czym nie zdołał ustalić, dla kogo chustka była przeznaczona. Zażądał zatem informacji i wyjaśnienia, kto ją w to miejsce dostarczył. Więźniowie wskazali na Józka. Wobec tego SS-man domagał się od Józka wskazania więźnia, dla którego chustka była przeznaczona. Józek jednak tym razem więźnia tego nie zdradził, oświadczając, że sam chciał ją dalej sprzedać. W następstwie tego został ponownie zatrzymany przez Oddział Polityczny i dwa dni potem rozstrzelany.

Poza [współpracą z] konfidentami SS-mani starali się i w inny sposób otrzymywać wiadomości o tym, co się dzieje w obozie. Jednym z takich sposobów było w 1942 r. zwrócenie się *Oberscharführera* Palitzscha do więźniów z wezwaniem, by drogą anonimową wrzucali listy do umieszczonej na bloku 15. czarnej skrzynki i zawiadamiali władze obozowe o sprawach dotyczących więźniów i stosunków w obozie. Skrzynka ta była opróżniana codziennie rano osobiście przez Palitzscha, gdyż tylko on posiadał do niej klucz. I zdarzały się wypadki, że niejednokrotnie Palitzsch wyjmował z niej większą lub mniejszą liczbę anonimowych doniesień. Skrzynka wisiała w widocznym miejscu, toteż kartki do niej wrzucane były przeważnie w porze nocnej. Trwało to aż do czasu przeniesienia Palitzscha do Brzezinki, do obozu cygańskiego. Od tej bowiem chwili skrzynka już nie funkcjonowała.

W związku z możliwością swobodnego poruszania się po obozie miałem sposobność rozmawiania i kontaktowania się z wieloma więźniami, pochodzącymi z różnych krajów i należącymi do różnych sfer. Wielu z nich darzyło mnie szczególnym zaufaniem i niczego przede mną nie taіło. Byłem więc doskonale obeznany z tym, co się w obozie

nie tylko jawnie, ale i skrycie działało. Na tej podstawie oświadczam, że na terenie obozu oświęcimskiego nie istniała żadna większa organizacja polityczna więźniów grupująca szeregi ujęte przez jednolite kierownictwo i na sposób wojskowy, a w szczególności nie było warunków i możliwości do tego, by móc zgromadzić tam w tajemnicy przed SS-manami i konfidentami jakąkolwiek broń. Przyznaję, że wiele rzeczy udało się na terenie obozu przeprowadzić w sposób tajemny i nielegalny, ale działało się to dzięki porozumieniu kilku czy kilkunastu ludzi oraz poświęceniu jednostek. W tych wypadkach dokonywano sporadycznie poszczególnych czynności, ale nie były one powiązane i skoordynowane w jedną planową akcję, kierowaną przez jakiś zorganizowany sztab naczelny o charakterze politycznym czy wojskowym. Dlatego też dziwią mnie ukazujące się w ostatnich dniach na ten temat – czy to w dziennikach, czy też od poszczególnych byłych więźniów oświęcimskich – wypowiedzi i oświadczenia głoszące, iż na terenie obozu w Oświęcimiu istniała masowa organizacja potajemna, obejmująca członków różnych narodowości, a posiadająca nawet na terenie obozu specjalne składy broni, przygotowane po to, by w odpowiednim momencie użyć jej do walki przeciwko władzom obozowym. Ja o istnieniu takiej organizacji nic nie wiem. Dziwi mnie to, że wspominając o istnieniu tej organizacji, nie wymienia się nazwisk jej kierowników, co przecież w dzisiejszych warunkach nie tylko nie jest niebezpieczne, ale przeciwnie, przynosić by musiało zaszczyt i chlubę.

Jak już wspominałem, z Oświęcimia wywieziony zostałem transportem do Mauthausen, skąd przeniesiony zostałem do Greditz koło Lipska. Po likwidacji tego komanda zbiegłem z transportu i pieszo, a następnie transportem dostałem się do domu.

Odczytano. Na tym protokół 19 czerwca 1945 r. zakończono.